

E. Jezierski

POTOMEK  
HETMAŃSKI

Tom I

A decorative flourish consisting of a horizontal line that curves downwards and then spirals inwards, ending in a small circular motif.

POTOMEK HETMAŃSKI



# POTOMEK HETMAŃSKI

OPOWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z ROKU WOJNY 1812.

PRZEZ

EDMUNDA JEZIERSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA

NAKŁADEM MICHAŁA ARCTA

i «NASZEGO ŚWIATA».

Dodatek do «N. Świata»  
za Styczeń 1912 r.





75 640/1

Drukarnia M. Arcta w Warszawie, Ordynacka 3.  
1912

K-86/77/81881

## WSTĘP.

### Niech żyje druga wojna polska!

Energicznie zabrało się młode księstwo Warszawskie do leczenia mnogich a dotkliwych ran, zadanych srogą wojną austrijacką 1809 r., lecz nie zdołało się jeszcze z nich należycie wyleczyć i wszelkich szczerb załatać, gdy szeroko rozeszła się wieść o nowej wojnie cesarza Napoleona...

Tym razem toczyć ją miano z Rosją, pod berłem której pozostawała przeważna część ziem dawnej Rzeczypospolitej, zagarniętych w czasie trzech, smutnej pamięci, rozbiorów.

To też wieść ta, poparta przytem różnemi złudnemi słówkami, wyrzeczonemi od niechęcia przez Napoleona do różnych osobistości, to o gorącym pragnieniu wskrzeszenia Polski, to o tem, że los Polaków w ich rękach spo-



czywa, budziła łatwo zrozumiała wśród narodu entuzjazm.

I zawrzało na całym obszarze dawnej Rzeczpospolitej.. Wszyscy zaczęli się szykować do wojny, wszyscy o niej mówili, roili, marzyli!

I choć w kraju całym nie było rodziny, z którejby wszechmocny Moloch wojny kogoś nie porwał, szły nowe ofiary, zastępy gotowe do walki zwiększały się, a nadzieje rosły..

Warszawa zaroila się od przybywających z przeróżnych stron kraju obywateli co najprzedniejszych, gotowych nieść służby temu, co im przyobiecał przywrócić Ojczyznę.

Tłumy w niej były takie, jakich nikt od czasów sejmu czteroletniego nie pamiętał. Na ulicach co krok prawie spotykało się mundury wojskowe, gdyż każdy, komu tylko siły i wiek pozwalały za broń schwytać, zaciągał się do szeregów, by walczyć za Ojczyznę pod wielkim Napoleonem.

Minister wojny i wódz naczelny wojsk Księstwa, tak wslawiony niedawną wojną z Austrią, nie ustawał w pracy wraz ze sztabem swoim.

Od wczesnego rana aż do późnej nocy zajęty był to w kancelarji, przy biurku, to znów na koniu, przy przeglądzie nowo formujących się oddziałów.

Nadszedł wreszcie rozkaz cesarski o uformowaniu z wojsk polskich V korpusu wielkiej armji, pod naczelnem dowództwem księcia Józefa. Korpus ten dzielił się na trzy dywizje piechoty pod dowództwem generałów: Zajączka, Dąbrowskiego i Kniaziewiczza, oraz dywizję jazdy pod wodzą księcia Sułkowskiego.

Prócz tego kilka pułków jazdy polskiej wcielonych zostało do innych korpusów.

Rozkaz ten jasno stawiał kwestję wojny i w jeszcze bardziej gorączkowe usposobienie wprowadził wszystkich.

Odwołano też rezydenta dotychczasowego, Bignona, a na miejsce jego przysłano nadzwyczajnego ambasadora francuskiego, arcybiskupa Mechlinu, księdza Pradta.

Grzeczny, ujmujący, w krótkim czasie zdobył sobie sympatję całego społeczeństwa i nikt się nawet prawie nie spostrzegł, gdy ujął w swoje ręce naczelny ster wszystkich spraw i kwestji polskich.

A tymczasem z zachodu przychodziły coraz nowe i nowe wieści, zmieniając się, jak w kalejdoskopie i gorączką napelniając tłumy.

...9 maja cesarz Napoleon wyjechał wraz z cesarżową z Paryża. Po drodze zatrzymał się w Dreźnie na dni dziesięć, gdzie jak koroni wasalowie, oczekiwali na rozkazy jego: cesarz austrijacki, król pruski i kilku pomniejszych monarchów niemieckich..



Wojska francuskie i sprzymierzone z nimi szły już olbrzymią falą nad Niemen, gdzie rozciągała się granica Imperji Rosyjskiej...

...30-go maja przybył cesarz do Poznania... przyjeźli go tam wojewodowie Sobolewski i Wybicki, i w rozmowie z nimi rzucił im promień nadziei... dał obietnicę... lecz za to żądał nowych ofiar w ludziach i pieniądzech... nowych potoków krwi, które odrodzenie Rzeczpospolitej okupić miały.

I dalej już snuł się opis trymfalnego pochodu potężnego cesarza przez Księstwo, aż do Królewca, gdzie przybywszy 12 czerwca, założył główną kwaterę i wszystkimi poruszeniami wojsk kierował...

Jednocześnie prawie przybył do stolicy i brat cesarski, Hieronim Bonaparte, król Westfalski.

Tłumy ludu wylegały na ulice miasta, by mu się przyjrzeć, by zobaczyć choć brata tego, który wstrząsał w danej chwili posadami Europy i stanowił o losach Polski.

A on jechał w jaskrawym zielonym mundurze, z czerwonymi obrzeżeniami, z oblicza podobien trochę do brata, lecz dziwnie jakoś zniewieściały, bez tej męskiej energii i stanowczości, które cechowały wielkiego Napoleona.

Miasto przyjmowało go wspianiale, nie za-

lując kosztów na przepyszne uczyły, oraz na utrzymanie tego królika i świty jego...

A poczynął on sobie, jak monarcha, przyjmując na posłuchaniach przedstawicieli władz, ministrów, wojskowych...

Po mieście całem krążyły głuche wieści o tem, jak chcąc utrzymać swą cerę w ciągłej świeżości, zażywa on codziennie kąpieli w mleku i winie... jak robi przeróżne zabiegi, którychby się powstydzila nawet niejedna z pięknych pań..

Mimowoli czyniono porównania między nim, cesarzem Napoleonem i księciem Józefem, a wszystkie wypadały na niekorzyść tego króla-lalki, z miną rozkapryzonego dziecka przejeżdżającego się po ulicach Warszawy na pysznym arabskim rumaku.

Wreszcie przyszedł rozkaz cesarza Napoleona, ażeby wojska polskie wyszły z stolicy, kierując się nad Niemen, na Litwę, w stronę Grodna.

Zawrzała jeszcze bardziej gorączkowa praca.

W koszarach czyniono ostatnie przygotowania do pochodu, a twarze żołnierzy jaśniały radością.

O tem, że wielu z nich legnie na placu boju, martwych lub rannych, nikt wówczas nie pomyślał.

Złote promienie słońca czerwcowego roz-



jaśniły plac Saski, rzucając świetlane blaski na rozstawione w szeregach, w barwnych swych mundurach, pułki polskie.

Stały one obok siebie w zwartych kolumnach, gotowe do pochodu, a na sztandarach rozwiniętych królewski ptak rozwijał do lotu swe skrzydła.

Rozległo się donośne warczenie bębnow, rozbrzmiał odgłos tręb i ukazał się na placu, na szpakowatym rumaku, w mundurze ułańskim, otoczony świetnym sztabem, wódz tych zastępów, książę Józef Poniatowski.

Na widok jego z piersi zgromadzonych tłumów huknął gromki okrzyk:

— Niech żyje książę Józef! niech żyje!

W oczach tłumu i żołnierzy zapłonęły ognie szczerego uwielbienia, ukazały się płomyki gorącej miłości.

A książę Józef przejeżdżał przed szeregami cichy, milczący, pełnym zadumy wzrokiem mierząc te postacie żołnierskie, gotowe na jego skinienie iść w ogień bojowy, na pewną śmierć.

Stanął wreszcie; pułk za pułkiem przechodzić przed nim poczęły. Szły sprawnie, krokiem bojowym, wyprostowane, silne i potężne jak mur... a oczy wszystkich z uwielbieniem obejmowały postać umiłowanego wodza.

Skończył się wreszcie przegląd. Oddziały wojsk wróciły na swoje stanowiska, a księcia

Józefa, na skinienie jego, otoczyli zwartem kołem dowódcy oddziałów i wszyscy wyżsi i niżsi oficerowie.

Wówczas książę Józef, wyprostowawszy się w strzemionach, rzekł dźwięcznym, donośnym głosem:

— Idziemy walczyć pod sztandarami cesarza, towarzysze bronii! Pamiętajcie, przechodząc granice Księstwa, że wstępujecie na oczyszczoną ziemię, nieście oręż mściwy nieprzyjaciółom, opiekuńczy współziomkom; idziemy nie podbijać, lecz uwalniać: tego dość dla Polaków. Niech żyje cesarz!

Rozgłośnie okrzyki odpowiedziały księciu, a uczucie rozrzewnienia ogarnęło wszystkich.

Zagrzmiały znów dźwięki muzyki i oddział za oddziałem posuwać się zaczęły w stronę koszar, by stamtąd podążyć dalej, na plac boju, na walki i zapasy śmiertelne.

Towarzyszyły im tłumy mieszkańców, ze łzami w oczach patrzących na te szeregi młodzieży, idącej na plac boju, na śmierć i cierpienia, jak na gody!

W myśli wielu budziło się mimowoli pytanie:

— Czy wrócą ci wojacy tak dumni i radośni? Ilu z nich legnie tam, hen, daleko, na obcej ziemi? Ilu z nich zrosi ją krwią swoją?

Lzy jakby żalu, jakby współczucia, przesłoniły mgłą niejedno oko.



Opustoszała powoli Warszawa. Opuszczaly ją, jeden za drugim, oddziały wojsk, idących za rozkazem cesarskim.

Podążył za nimi również i książę Józef ze sztabem swoim, uroczyście żegnany przez mieszkańców i władze cywilne.

Wreszcie w dniu 20 czerwca opuścił ją i król Hieronim, dążąc za posuwającym się naprzód korpusem, nad którym, z woli brata, objął naczelne dowództwo.

Po wyjściu wojsk nie zamarło jednak życie w Warszawie. Z rozkazu Napoleona przyspieszono zwołanie sejmu generalnego, przyczem z rozporządzenia króla saskiego a księcia Warszawskiego, powołano do Warszawy sędziwego księcia generała ziem podolskich, Adama Czartoryskiego.

Na sejmiku powiatu warszawskiego, książę Czartoryski jednogłośnie został wybrany posłem do sejmu.

Wreszcie w dniu 24 czerwca ogłoszono dekret królewski z dnia 24 maja, zlewający najwyższą władzę rządzącą na radę ministrów, a który zaczynał się od wyrazów:

«Zważywszy nadzwyczajne terażniejszej chwili okoliczności, wielkie przeznaczenie narodowi rokujące, i t. d. i t. d.»

Jednocześnie prawie ogłoszono dzień zwołania sejmu, oznaczając go na 26 czerwca.

Z naprężeniem gorączkowym oczekiwano dnia tego.

Nadszedł wreszcie!

Sala sejmowa przepelniona została posłami, a galerje aż się uginały od tłumu ciekawych, wśród których znajdowali się przedstawiciele najpierwszych rodów dawnej Rzeczypospolitej.

Poważnie i uroczyście rozpoczęło się to posiedzenie sejmu, który miał stać się tak ważnym w dziejach Polski.

Marszałkiem jego ogłoszono sędziwego księcia, Adama Czartoryskiego.

W krótkich słowach zagaił on posiedzenie, przekładając do rozpatrzenia obecnych podanie obywateli — Litwinów o przyłączenie do Polski.

Odezwę tę zaczynały słowa następujące:

Wzywamy was w imieniu naszym i pokoleń naszych, abyście się zajęli niezwłocznie wielkim przedmiotem; nie potocznych urzędzeń, nie utyskiwań na panujące cierpienia, nie zaradzeń cząstkowych to jest pora! Śmiejcie! Czyńcie!

Odezwę tę przyjęto z entuzjazmem i wnet wydelegowano specjalną komisję do rozpatrzenia jej.

Nazajutrz znów, dnia 27 czerwca zaroily się tłumem zaproszonych gości wspaniałe salony pałacu książąt Czartoryskich na Krakowskiem Przedmieściu.



Sędziwy książę general ziem podolskich, marszałek świeżo otwartego sejmu, Adam Czartoryski, zaprosił na obiad do pałacu swego wszystkich znaczniejszych obywateli Polski, zgromadzonych w stolicy kraju z racji oczekiwanych ważnych wypadków.

Tłumy gości przesuwaly się przez salony księstwa, tocząc ożywione rozmowy, a na ustach wszystkich był tylko cesarz Napoleon oraz zapowiedziana wojna z Rosją.

Oczy wszystkich biegły mimowoli w stronę sali, gdzie pod ścianą, otoczony wieńcem pięknych pań, zajmował miejsce ambasador potężnego cesarza Francuzów—Napoleona, arcybiskup Mechlinu, ksiądz Pradt.

Wesoła, uprzejmie uśmiechnięta, a mimo to pełna dumy twarz nadzwyczajnego ambasadora, nie mówiła nic i nic z niej wyczytać nie było można.

Wreszcie gospodarz dał znak ruszenia do stołu, i ksiądz Pradt, podawszy wytwornym ruchem ramię księżnej pani, skierował się do rzęsiście oświetlonej tysiącami świec sali jadalnej, gdzie już czekały stoły, nakryte na kilkadziesiąt osób.

W miarę opróżniania puharów, ożywiały się rozmowy przy stole, gwar wzrastał.

Miało się ku końcowi obiadu, gdy na podwórcu pałacowym dał się słyszeć tętent kopyt końskich, oraz zmieszany gwar głosów.

Ucichły na chwilę rozmowy przy stole, wszyscy nasłuchiwali z natężeniem, wpatrując się w drzwi wejściowe, gdy naraz ukazał się w nich marszałek dworu księcia, i podsunąwszy się do tegoż, cichym głosem, tak że jednak wszyscy go słyszeli, oznajmił:

— Goniec Jego cesarskiej mości, cesarza Napoleona, do jego ekscelencji, pana ambasadora.

Wszyscy zamienili pełne znaczenia spojrzenie.

Cóż nowego przynosił ten goniec? Jakiej wieści miał być zwiastunem?

Oczy zebranych z niepokojem i ciekawością zawisły na ustach księdza Pradta, a ten, pochylony ku księciu generalowi, szeptem zamienił z nim jakieś słowa.

Wreszcie rozległ się dźwięczny głos księcia:

— Prosić!

Marszałek wyszedł, a po chwili na progu sali ukazał się rosły mężczyzna, w zielonym, złotem wyszywanym mundurze kurjerów gwardji cesarskiej, na którego całej postaci, pyłem okrytej, znać było znużenie, spowodowane daleką i męczącą podróżą.

Skłonił się po wojskowemu ambasadorowi i doręczając mu wielki pakiet z pieczęcią kancelarji cesarskiej, wyrzekł:

— Z kancelarji jego cesarskiej mości!



Ksiądz Pradt wziął ów pakiet z rąk jego, rozerwał pieczęć i odczytywać zaczął wydobyty z niego papier.

W miarę czytania na twarzy jego ukazywał się uśmiech, i wreszcie doręczył papier księciu Czartoryskiemu.

Wśród głuchoj ciszy wszystkich zebranych w sali zaczął go książę przeglądać i oblicze jego stopniowo coraz bardziej promieniało, stało się jaśniejszem.

Wstał wreszcie, dał znak, że chce mówić, a gdy w sali zapanowała cisza taka, że słychać było brzęk przelatującej muchy, przemówił dźwięcznym głosem:

— Mości panowie, pozwólcie, że odczytam wam odezwę do wojska, ogłoszoną przez wielkiego cesarza Napoleona w Wilkowyszkach.

I czytać zaczął:

«Żołnierze! zaczęła się druga wojna polska. Pierwsza skończyła się pod Friedland i w Tylży; tam zaprzysięgła Rosja Francji wieczne przymierze, Anglii wieczną wojnę. Dziś gwałci swoje przysięgi: i żadnego względem osobliwego postępowania swojego nie chce dać tłumaczenia, dopóki się orły francuskie za Ren nie wrócą, zostawiając sprzymierzeńców naszych jej samowolności. Rosja pociągana jest złym losem swoim, jej przeznaczenie musi być spełnione! Miałaby rozumieć, żeśmy się już

zmienili? Mielizbyśmy już nie być żołnierzami z pod Austerlitz? Stawia ona nas między hańbą a wojną; wybór nasz nie może być wątpliwym. Naprzód więc, przejdźmy Niemen, przemieśmy wojnę na rosyjską ziemię. Druga ta wojna równie będzie chlubną dla oręża francuskiego, jak pierwsza; lecz pokój, który po niej zawrzemy, w sobie samym rękojmię trwałości swojej mieć będzie i położy nieprzebytą tamę dawnemu wpływowi, jaki Rosja od lat 50 na stosunki europejskie wywierała!»

Skończył wreszcie książę generał odczytywać ten akt wielkiej wagi, a w sali wciąż panowała cisza, choć oczy wielu błyszczwały, choć na usta rwały się okrzyki radości i entuzjazmu.

Po chwilowem milczeniu książę generał mówił dalej:

— Mości panowie! Wojna tedy, jak mówi cesarz, rozpoczęła! Wojska francuskie przekroczyły granicę rosyjską. Pozwólcie panowie, że wniosę w ręce jego ekscelencji, pana ambasadora toast: Najjaśniejszy cesarz Francuzów, Napoleon, bohater i zwycięzca, niech żyje!

Aż zatrzęsła się sala od pełnych zapалу okrzyków:

— Niech żyje cesarz! Niech żyje Napoleon!





Jednocześnie rozbrzmiała potężną fanfarą umieszczona na galerji muzyka. Do gwaru tego i pełnego radości szalu mieszał się i brzęk tłuczonego szkła. To niektórzy z zebranej szlachty, zachowując prastary obyczaj sarmacki, tłukli o ziemię puhary, które dopiero co opróżnili...

Długo, bardzo długo trwał ten wybuch radości; oczy wszystkim płonęły, a z ust wyrwał się okrzyk na cześć tego, który miał ich prowadzić po nowe laury.

Wojskowi radowali się z oczekującej ich kampanji, roili już o zwycięstwach, nagrodach, a cywilni spoglądali na nich z nietajoną zazdrością.

I trwałyby bez końca te uściski, wiwaty, gdyby ksiązę generał uderzeniem noża o puhar nie dał znaku, że przemówić chce znowu.

Uciszyli się wszyscy powoli, a ksiązę generał, wznosząc do góry puhar z winem, rzekł:

— Mości panowie! A teraz wnieśmy drugi toast na cześć tego, kto służy za pośrednika między nami a cesarzem Francuzów. Jego ekscelencja ksiądz arcybiskup Mechlinu, pan ambasador Pradt, niech żyje!

Cisnęli się wszyscy do dziękującego z miłym uśmiechem za tę owację księdza Pradta, stukając się z nim puharami, wyrażając mu szacunek swój i uznanie.

I znów powstał z miejsca swego sędziwy gospodarz i dał znak, że raz jeszcze przemówić pragnie.

— Mości panowie! — mówić zaczął drżącym głosem, gdy w sali zapanowała cisza — wojna się rozpoczęła. Armja francuska przekroczyła granicę rosyjską... Z nią idzie armja polska, by męstwem swem i odwagą złożyć świadectwo, że godną jest chwały... Mości panowie! z tych, którzy tam, na pole walki wyruszyli i wyruszają, wielu nie wróci, lecz śmierć ich zaszczytną będzie! Waleczni towarzysze ich pójdą naprzód, pójdą tam, gdzie rozkaże im wszechmocna wola wielkiego Napoleona. Mości panowie! ten toast wznoszę na cześć walecznej i bohaterskiej armji polskiej oraz woda jej, księcia Józefa Poniatowskiego!

Tu już pękły tamy uniesienia. Jak jeden mąż porwali się zebrani z miejsc swoich i krzyczeń poczęli:

— Niech żyje wojsko! niech żyje ksiązę Józef! Niech żyje Polska!

I cywilni ściskali i całowali się z wojskowymi, wychylając puhar za puharem na cześć walecznych zastępów polskich.

Wznoszono toast za toastem, a każdy wityany był hucznymi wiwatami i okrzykami, za każdym rozbrzmiewała rozgłośną fanfarą muzyka.



Jakiś prąd elektryzujący przebiegł wśród zebranych, a powodem jego była odezwa cesarza Napoleona.

Wiść o niej przedostała się rychło za pośrednictwem służby księcia na ulicę, gdzie stały zebrane tłumy ludu, i rozeszła się daleko, hen, po mieście, budząc wszędzie radość, uniesienie, szal, niemniejsze, niż w wspaniałych salonach księcia generała. Treść jej biegła z ust do ust, i w pół godziny nieomal obiegła, całe miasto.

Wszyscy prawie mieszkańcy wylegli na ulicę, dzieląc się tą wieścią radosną, ciesząc, wiwatując.

Największy tłum zgromadził się przed pałacem książąt Czartoryskich, skąd przez jasno oświetlone okna dobiegały gromkie okrzyki i wiwaty uczujących przy wznoszeniu toastów, oraz fanfary orkiestry.

Nad świtem dopiero rozjeżdżać się zaczęli goście, a zebrane na ulicy liczne tłumy gromkimi wiwatami odprowadzały ambasadora Pradta, ministrów Matuszewicza, Potockiego, Linowskiego i innych wybitnych mężów Polski.

Wcześniej też tłumy ludzi gromadzić się zaczęły wokół gmachu obrad sejmowych.

Do wnętrza budynku wpuszczano tylko posłów, albo osoby zaopatrzone w bilety, a i tak galerje przepelnione były do tego stopnia, że

literalnie ani jednego miejsca wolnego na nich nie było.

Toż samo działo się i z lożami.

W jednej z nich zasiadała księżna Czartoryska, otoczona licznym gronem osób, należących do rodziny lub bliższych znajomych, w drugiej zaś ukazał się ambasador ks. Pradt, przywitany gromkimi oklaskami i wiwatami.

Zgromadzili się wreszcie wszyscy posłowie i na mównicę wstąpił minister Tadeusz Matuszewicz.

Głęboka cisza zapanowała w sali, gdy pierwsze słowa padły z ust mówcy. A mówił on z ogniem i zapałem, porywającym wszystkich. Mówił o węzłach, łączących Polskę z Francją:

— Francja i cała Europa potrzebują Polski. Jeśli przeto w dawniejszych epokach wszystko sprzysięgało się na naszą zgubę, w dzisiejszej wszystko sprzyja dźwignieniu naszemu... Powstanie więc Polska, co mówię? Jest już Polska!

Mówca nie mógł już dalej mówić, porwany natchnieniem.

A zebrany w sali te słowa jego: «Jest już Polska!» wydały się proroczymi, głośnym też okrzykiem odpowiedzieli na nie.

Aż zatrzęsł się strop sali od potęgi i mocy okrzyku tego, a lud na ulicy zgromadzony, tuż pod oknami, podchwycił go w uniesieniu, powtarzając stokroć potężniej.



Pobiegł okrzyk po całej ziemi polskiej, docierając do najgłuchszych zakątków, budząc w sercach wszystkich otuchę i nadzieję.

Wreszcie uspokoił się wybuch uczuć publiczności i ludu, uciszyło się wszystko i minister Matuszewicz mógł dokończyć swą mowę.

I oto w imieniu deputacji ogłosił wniosek zawiązania konfederacji generalnej Królestwa Polskiego.

I znów wybuchły okrzyki pełne radości i uniesienia, gdy poczęto odczytywać akt tej konfederacji.

Publiczność zbiegła z galerji i wmieszała się między sejmujących.

Sejm został rozwiązany, a z grona posłów i deputowanych wybrano osoby, stanowić mające radę generalną konfederacji Królestwa Polskiego.

Przewodniczącym tej rady obrany został jednomyślnie Adam hr. Czartoryski, a członkami jej: ordynat Stanisław Zamoyski, biskup Jan Gołaszewski, Aleksander Linowski, Marcin Badeni, Antoni Ostrowski, Fryderyk Skórzewski, Joachim Owidzki, Franciszek Wężyk, Franciszek Łubieński, ksiądz Skórkowski i KaJetan Koźmian, jako sekretarz generalny.

Wnet też rada tej konfederacji zabrała się energicznie do pracy. Zamiast dotychczasowego herbu Księstwa Warszawskiego, stanowiącego połączenie herbu Polski z Saksonją,

przywrócono dawny herb Rzeczpospolitej, połączenie Litwy z Polską, wyobrażający Orła z Pogonią.

Następnie wydała rada konfederacji odezwę do obywateli i do wojska, oraz wybrała dwie deputacje: jedną do Napoleona, a drugą do króla saskiego, mające im przedstawić akt tej konfederacji.

Podczas gdy władze cywilne kraju zajęte były wewnętrzną organizacją, władze wojskowe formowały nowe pułki, nowe oddziały i ślały je w ślad «wielkiej armji» Napoleona, by krwią swą i mnogimi ofiarami dały dowód cesarzowi, że «godni są stać się narodem».

Dążyły szeregi polskie nad Niemen, gdzie gromadziły się olbrzymie zastępy Napoleona, złożone z przedstawicieli nieomal wszystkich narodów Europy.

Szły tam, wpatrzone w różową jutrzenkę wolności... szły, by ginąć tam... by próżne nieść ofiary!



I.

Nad sinemi falami Niemna.

Jak łan kwiecisty rozkwitły piaszczyste brzegi Niemna przeróżnej barwy mundurami.

Czterykroć siedemdziesiąt siedem tysięcy żołnierzy, zebranych w całej Europie, stanęły nad brzegami jego, czekając swej kolei, by przejść przezeń, by wkroczyć w granice państwa, które z rozkazu Napoleona orężem swym mieli podbić i rzucić do stóp jego.

Wszechmocną i wszechpotężną wolą tego człowieka, stanęli tam zgromadzeni Hiszpanie, Włosi, Portugalczycy, mieszkańcy wszystkich państw Niemieckich, oddział dzieci pustyni — Mameluków, wreszcie Polacy, rdzenni tej ziemi mieszkańcy.

Jak przy budowie nowoczesnej wieży Babel, rozbrzmiewały tam nieomal wszystkie języki świata, prawie wszystkie też narody miały tam swoich przedstawicieli. Posłuszne woli

jednego genialnego człowieka, wznosić miały ów gmach, na którym oprzeć się miała sława i potęga jego, na którym on sam miał stanąć w chwale i tryumfie.

Niestety, tu, jak przy budowie wieży Babel, nastąpiło pomieszanie i gmach, z trudem takim i mazołem, kosztem tylu ofiar wznoszony, runął, grzebiąc pod gruzami swemi tego, który był jego głównym twórcą.

Z wyniosłego wzgórza, położonego tuż prawie przy moście, przez który przejście odbyć się miało, przyglądało się rojącej się jak mrowisko armji dwóch ludzi, przybranych w mundurzy strzelców konnych legji nadwiślańskiej.

Pułk ich szedł w tylnej straży, jako przybyły niedawno z Księstwa Warszawskiego, mieli też czas i możność przyglądania się wspaniałemu obrazowi.

Przez wzniesiony na prędcie most łyżwowy, w złotych promieniach czerwcowego słońca, długim węzłem przesuwaly się wojska, składające wielką armję Napoleona. Przesuwaly się jeden za drugim oddziały piechoty i konnicy, to znów z głuchym hukiem toczyły się działa po deskach mostu.

Zdawało się, że nie będzie końca tej długiej falandze wojsk, wozów i dział. A szły one wszystkie krokiem śmiałym, pewnym, z rozwiniętymi sztandarami, z orkiestrami, grającymi marsze, na czele. Warczenie bębnow,



tupot nóg ludzkich i końskich, parskanie rumaków, okrzyki, rozkazy, dźwięki muzyki, szero i daleko rozlegały się wokóło.

Zastępy te dążyły naprzód, przed siebie, z pewnością zwycięstwa, jak na bój, który im nowy tryumf, nową chwałę miał przynieść.

Jeden ze stojących na wzgórzu oficerów, młody bardzo, w mundurze porucznika, z odznakami dwóch orderów na piersi, schwycił za rękę towarzysza i zawołał:

— Patrz, Janku, patrz! Jak fala płyną i płyną te zastępy. Idą naprzód, jakby świat cały pod władanie swe zagarnąć miały. O! tej potędze, tej sile, nie oprze się armja rosyjska; przy pierwszym natarciu pierzchnie przed nami rozproszona, złamana i błagać będzie o pokój, błagać będzie o zgodę, przyjmując warunki, jakie jej cesarz podyktować zechce. A wtedy spełnią się marzenia nasze, ziszczą się one... wybije dla nas tak gorąco upragniona godzina!

Towarzysz porucznika, w mundurze kapitana, również udekorowany, uśmiechnął się na ten wybuch uczuć przyjaciela i odrzekł:

— Dajesz się, Stachu, porywać zachwyto wi. Łudzi cię widok wspaniały i unosi entuzjazm! Lecz nie znasz Rosjan, nie wiesz, jakie są ich siły. Prawda, liczebnością i wyćwiczeniem ustępują oni wojskom naszym, lecz

za to walczyć będą w kraju swoim, klimat którego okaże się wrogim dla wielu z pośród tych żołnierzy, przyzwyczajonych do łagodnej atmosfery południa. A przytem, posłuchaj, co mówią między sobą starsi oficerowie, jakie wśród nich krążą zdania! Nie dalej, jak wczoraj, słyszałem narzekania ich na straszne rozprężenie, brak ładu, brak zapasów! Mówiono mi, że nikt, ale to literalnie nikt, nie myśli o przyszłości, wszyscy zaślepieni są dotychczasowem, bezustannem prawie szczęściem, nie dbają o nic. I że cesarz, zdaje się, przerachuje się tym razem...

— Tak — przerwał mówiącemu porucznik Stanisław — przyznaję ci słuszność... jest pewien nieład, czemu się niema co dziwić, wzięszy pod uwagę olbrzymią masę wojsk... Zresztą, z czasem usunięte to zostanie z pewnością!

— Daj Boże! — przerwał mu kapitan Jan — lecz teraz są one tembardziej szkodliwe, gdyż działają na olbrzymią masę.

Porucznik chciał coś odrzec przyjacielowi, gdy naraz od strony przechodzących ku mostowi wojsk rozległ się ogłuszający okrzyk:

— Vive l'Empereur!

I biegł ten okrzyk, do gromu podobny, hen w dal, przez rzekę, objając się o siniejące w oddali bory litewskie...

Podchwyciły go idące przodem pułki, pod-



chwyciły go, jak echo, i znów, stokroć potężniej, rozbrzmiał ponownie okrzyk:

— Vive l'Empereur!

Tam, na przeciwległym wzgórzu nad Niemem, stał, otoczony sztabem, w błyszczących od złota i haftów różnobarwnych mundurach, z pióropuszami na kapeluszach i hełmach, na siwym arabskim rumaku, mąż średniego wzrostu, w szaraczkowym mundurze, w kapeluszu bez ozdób, skromnością ubioru wybitnie od różniący się od otoczenia.

Nieruchoma, piękna, jak z marmuru wykuta twarz jego, ani drgnęła nawet, gdy posłyszał pełne uniesienia i radości okrzyki, lekkim skinieniem ręki odpowiedział na nie i zagadkowe, przepaściste oczy, zwrócił ku wschodowi, tam, w stronę, gdzie na rozkaz jego, po śmierć lub zwycięstwo dążyły tysiące ludzi.

To Napoleon!

Wielki potężny Napoleon, wódz niezwykły, syn skalistej Korsyki, który z ubogiego porucznika artylerji, genjuszem swoim wzbic się potrafił na stanowisko władcy, rozkazującego miljonom ludzi, dyktującym prawa swe i warunki innym monarchom.

...Mąż, przewyższający lotnością umysłu swego i genjusza wszystkich, nietylko współczesnych, ale i przeszłych władców...

...Mąż, który genjuszem swoim wyniósł



Napoleon I.

Francję na pierwszorządne stanowisko na świecie...



...Mąż, który dzięki tytanicznej potędze rozumu swego zmienił kartę całej Europy, a imię swe w całym świecie rozgłośnem uczynił...

...Mąż, który obejmował rozumem swoim wszystkie nieomal dziedziny umysłowości i wiedzy ludzkiej...

Stał tam, na wzgórzu, otoczony świetnym gronem marszałków swoich, orłów, którzy byli ślepemi narzędziami w ręku jego, a którzy wyniesienie i znaczenie swoje jemu zawdzięczali.

Stał nieruchomy, jak posąg, a wzrok jego biegł wciąż ku wschodowi, jakby chcąc przeniknąć mroczną i tajemniczą zasłonę przyszłości.

I zdało się, że widzi on tam drogę, wiodącą do Indji, do tych Indji, wspaniałych, przedczudnych, o których roił od lat młodzieńczych, o których marzył, a do których pragnął się dostać niegdyś przez Egipt.

Do Indji, do których dostanie się po pokonaniu cesarza rosyjskiego, a zdobyciem których zada ostatni, śmiertelny cios potędze Anglii, tej Anglii, która jedna jedyna stała mu na drodze do zdobycia władzy nad światem całym, która jedna śmiała opierać mu się i urągać.

A pułk dążył za pułkiem, każdy zaś, gdy mijał cesarza, z głębi piersi wydobywał potężny okrzyk:

— Vive l'Empereur!

Porucznik Stanisław i kapitan Janek stali na swem wzgórzu, z wzrokiem utkwionym w stojącego naprzeciwko nich wielkiego woźdza, na koniu, jak posąg, wykuty z marmuru.

Po raz pierwszy w swem życiu widzieli cesarza, widzieli tego, którego imię wszyscy powtarzali z czcią, ubóstwieniem, uwielbieniem, lub też z obawą i zgrozą, na skinienie którego tysiące ludzi składało w ofierze swe życie na placu boju.

Przed paru dniami dopiero przybyli z swym pułkiem z Księstwa Warszawskiego, nie uczestniczyli w wielkim przeglądzie armji, dokonanym przez cesarza.

I teraz dopiero ujrzeli tego, który rządził prawie całym światem!

Na widok jego przez ciała ich przebiegł jakiś prąd magnetyczny, ręce ich mimowoli wyciągnęły się do czak i wyprostowani jak struny, złączyli głos swój z głosami żołnierzy i z pełnej piersi huknęli:

— Vive l'Empereur!

Cesarz rozejrzał się wokoło, powiódł wzrokiem po przechodzących szeregach i przez chwilę zatrzymał go na postaciach obydwóch przyjaciół. Lekki uśmiech przewinął się po ustach jego; przyłożył rękę do kapelusza, jakby ukłonem żegnając mijające go szeregi i zawróciwszy, powoli zjeżdżać zaczął ze wzgó-



rza, a za nim podążał cały świetny sztab jego.

Po chwili zniknął w mgłę kurzawy, jakby rozwiął się, rozplynął...

Przyjaciele stali długo jeszcze z wzrokiem w dal utkwionym, w ślad za ginącym w oddali cesarzem i jego orszakiem.

A tymczasem wojska przechodziły jedne za drugimi, formując się w szeregi zaraz po przebyciu mostu i dążąc naprzód, w dalszy pochód.

Nadeszły wreszcie pulki legji Nadwiślańskiej. Dwaj przyjaciele zjechali z wzgórza i połączywszy się z oddziałami swemi, ruszyli przez most.

Po przebyciu go, skierowali się w stronę Kowna, małej miejsciny, składającej się z drewnianych domków.

---

## II.

### Tajemniczy obrońca.

---

Zaroilo się małe, ciche miasteczko nad Niemem tłumami wojskowych różnej broni, różnych narodowości i różnych przyzwyczajen, nabytych w ciągu długich i uporczywych wojen, toczonych w różnych stronach świata...

Zgodnie też z temi przyzwyczajeniami, zachowywali się w krajach zaprzyjaźnionych i sprzymierzeńczych tak, jakby one były nieprzyjacielskimi...

W jednej chwili szeroką falą rozleli się po domach i chatach samego miasta, oraz przyległych do niego wiosek, domagając się wszystkiego, co, zdaniem ich, należało się im, a gdy mieszkańcy dobrowolnie czegokolwiek dać im nie chcieli, uciekali się do broni i siłą brali, tłukąc i rąbiąc wszystko.

Nieszczęśni mieszkańcy z głuchą rozpaczą patrzeli na tę swawolę przybyszów. Bezsilni, wylękli i bezbronni, bezradnie poddawali się postępowaniu żołdaków, patrząc, jak zabierali im bydło, trzodę, plon całorocznej ciężkiej pracy, jak niszczyli, rujnowali, burzyli wszystko.

Pięści ich zaciskały się, oczy miotaly płomień, lecz gniew swój kryć musieli w głębi serca, gdyż w razie najmniejszego okazania tego uczucia, nie uniknęliby srogich razów i wymysłów rozjuszonych żołnierzy.

Oddawali więc wszystko, co posiadali poczciwi wieśniacy litewscy, z nienawiścią patrząc na tych, co «wolność» przybyli im nie śc.

Zmrok zapadł.

Zwykle uroczysta, pełna jakiegoś wspaniałego nastroju noc letnia, zakłóconą tym razem została hulaszczemi okrzykami, pijackimi



wrzaskami zabawiających się rabunkiem żołnierzy. Zapłonęły tysiące ognisk obozowych, krwawą luną odbijając się na niebie.

Lecz gdzieniegdzie luna ta była jaśniejszą, jaskrawszą; widać tam było strzelające ku niebu jasne płomienie... To podpalone ręką «wyswobodzicieli» płonęły chaty i budynki włościan, którzy się ośmielili stawić opór.

Legja Nadwiślańska rozłożyła się obozem zdala od innych, na uboczu. Panował tam ład i porządek wzorowy. Żołnierze, przywykli do karności i posłuszeństwa dowódcom, z nietajonem oburzeniem patrzeli na swawolę towarzyszy swoich z wielkiej armji. Odzywały się też wśród nich pojedyncze głosy:

— Toż to i Tatarzyn lepiejby nie poczynął w kraju nieprzyjacielskim!

— Aż ręka śwędzi, ażeby tych panów przetrzepać trochę i nauczyć rozumu!

Biegły zdania takie prosto z serc żołnierskich, dyktowane oburzeniem i gniewem na widok krzywd, czynionych rodakom.

To też gdy całe obozowisko wielkiej armji rozbrzmiewało hulaszczym gwarem i krzykami, w obozie polskim panowały cisza i spokój.

Przerywało ją tylko rzenie koni, tentent ich kopyt, gdy przybywały lub odjeżdżały z podjazdem, cichy głos oficerów, wydających rozkazy...

Północ już była, gdy przed namiotem, a raczej szalasem, naprędcie skleconym z gałęzi, w którym znaleźli schronienie młodzi oficerowie, zatrzymał się adjutant pułkownika i zawołał:

— Porucznik Stanisław Wicherski, jest tu?

Chwilę panowała cisza, wreszcie w namiocie wszczął się ruch jakiś, wyłoniła się z niego ciemna postać i zaspanym głosem odrzekła:

— Jestem!

— Weźmiesz waćpan pluton i wyruszysz z nim na podjazd.

— Według rozkazu — odrzekł znajomy już nam porucznik.

W kilkanaście minut pluton cały był na koniu.

Porucznik Stanisław miał już wsiadać na konia, gdy obok niego wyrosła jak z pod ziemi postać przyjaciela, kapitana Jana, który dźwięcznym głosem zawołał o konia.

— Jakto?—zawołał porucznik—i ty jedziesz? przecież to nie twoja kolej!

— To i cóż z tego — odrzekł kapitan—nie mogę spać, więc przejadę się trochę z tobą... A nuż spotka nas jaka ciekawa przygoda?

Podprowadzono konie, młodzi ludzie dosiedli ich i na czele plutonu pomknęli z kopyta.



Zrazu droga prowadziła wśród biwakujących żołnierzy, lecz po jakimś czasie dostali się do przednich straży i wymieniwszy hasło, podążyli dalej drogą na północ.

Rozkaz brzmiał: Porucznik Stanisław Wicherski na czele plutonu strzelców konnych skieruje się drogą do Wilna, starając się dotrzeć jaknajdalej i przekonać się, czy gdzie w okolicy nie widać sił nieprzyjacielskich.

Przed wyruszeniem w dalszą drogę, porucznik uniósł się w strzemionach i zwracając się do plutonu, spytał:

— Kto z was, chłopcy, zna dobrze te strony?

— Ja, panie poruczniku—odpowiedział głos jakiś z dalszych szeregów.

— Przybliżyć się, i kto waść jesteś?

Z tylnych szeregów zbliżył się jeździec i zameldował:

— Bartłomiej Mejsztyn, panie poruczniku!

— Dobrze znasz waść te strony? — pytał dalej porucznik Wicherski.

— A toć jam stąd, panie poruczniku — odrzekł zapytany. — Każdy, najmniejszy nawet zakątek, jest mi znany.

— Jakim sposobem znalazł się waść w szeregach naszych?—spytał go kapitan Jan.

— Jakim, panie kapitanie? — odrzekł zapytany—gdy do naszego zaścianka przyszła wieść, że cesarz «Napoljon» zwojował Prusaków, rzu-

cilem wszystko, pożegnałem rodziców i dziadunia i przekradłem się przez granicę. Zaciągnąłem się zaraz do naszych, biłem się z Austriakami... A teraz idę bić się znów, i już...

— Prowadź więc waść w stronę Trok — rzekł porucznik.

Bartłomiej Mejsztyn wysunął się naprzód, pluton cały na komendę sformował się w dwójki i pomknęli naprzód.

Mejsztyn znał drogę dobrze, ani na chwilę więc nie zboczyli z niej, nie zblądzili... Wyciągniętą linią mknęli tak przed siebie, nie widząc nigdzie śladu siedzib ludzkich.

Jechali dość długo, gdy naraz na wschodzie mroczny horyzont rozjaśniać się zaczął, przybierał różowe barwy, przechodzące powoli w ognistą purpurę...

— Stać!—zakomenderował porucznik, a potem, zwracając się do kapitana, rzekł:

— Czyżby to księżyc tak późno i w tej stronie wschodził?

— Tylko, panie poruczniku—wtrącił się do rozmowy Mejsztyn—że ten księżyc jest dziełem rąk ludzkich...

— To luna pożaru — dorzucił kapitan.

Stali przez chwilę nieruchomo, wpatrując się w rosnącą coraz więcej na niebie lunę, na tryskające już z niej ogniste, krwawe języki płomieni, spowitych czarną oponą dymu...



— Co to za wieś w tej stronie? — spytał porucznik Mejsztyna.

— A toć Rumszyszki, pani cześnikowej Opockiej—odrzekł zapytany.— Musi być w srobiej opresji, gdyż pewnie ją tam hultajstwo jakie opadło i zrabowawszy dom, podpaliło...

Chwilę trwał namysł porucznika.

— Znasz waść drogę tam wiodącą? — spytał Mejsztyna.

— Znam—odrzekł ten krótko.

— A więc prowadź! Wskok!

I wyciągnawszy się w długą linię, pomknęli strzelcy polscy w stronę owej łuny pożarnej. Znalazłszy się nieopodal niej, zwolnili biegu, i już z ostrożną, wolniejszą, podjeżdżać zaczęli, chcąc wcześniej spenetrować, z jakiego to rodzaju napastnikiem do czynienia mieć będą.

Jeszcze jeden zakręt, minęli gaj olszowy i oto stanęli nawprost płonącej wioski.

Obraz przedstawił się im wyraźnie, jak na dłoni.

A więc widzieli, jak koło płonących budynków gospodarskich kręciły się jakieś postacie ludzkie, usiłujące widać ratować je przed pożarem. Na krwawem tle płomieni widać było uwijające się postacie jeźdźców. Lecz jakiej byli oni broni i do jakiej narodowości należeli, trudno było zdaleka rozróżnić.

— Stępa!—zakomenderował porucznik.

Oddział zwolnił biegu i powoli, ostrożnie podsuwać się zaczął do wioski.

Już byli blisko, tak, że cały obraz rabunku, połączonego z podpaleniem, uwydatnił się im plastycznie, jak na dłoni, gdy naraz nowy widok uderzył ich oczy...

Z dworku, na którym już od iskier dach zajmować się zaczął, wybiegło dziewczę, najwyższej szesnastoletnie i zwracając się do jakiegoś żołnierza na koniu, widocznie dowodzącego napastnikami, z wyciągniętymi rękami, prosić go o coś poczęło.

Lecz żołdak na prośbę musiał odpowiedzieć odmownie, gdyż brutalnie, z dzikim śmiechem odepchnął ją od siebie.

Jednocześnie rozległ się huk strzału i jeden z otaczających dowódcę żołnierzy stoczył się z konia na ziemię...

Napastnicy wydali dziki okrzyk i z wy dobytymi szablami rzucili się w stronę, z której padł strzał.

Nie upłynęła nawet i minuta, gdy oczom Stacha i towarzyszków jego ukazali się z powrotem, wlokąc za sobą chłopca, może piętnastoletniego, który trzymał w ręku dymiącą jeszcze rusznicę..

Jednocześnie na ganku dworku ukazali się inni żołdacy, ciągnący niemłodą niewiastę, w narzuconych bezładnie na bieliznę szatach,



z rozpuszczonemi na ramionach pasmami siwych włosów.

Na ten widok zawrzała krew w żyłach kapitana i porucznika Stanisława.

— To huzarzy pruscy—szepnął Stach, a Janek przytwierdził mu skinieniem głowy, licząc ich wzrokiem.

Było ich prawie że tylu, co strzelców w plutonie.

Spojrzał po podkomendnych swoich. W oczach każdego z nich błyszczała determinacja i nienawiść. Czekali tylko rozkazu, aby rzucić się na znienawidzonych Prusaków!

— Szykować broń! — rzucił rozkaz szepciem.

W jednej chwili w mroku nocy błysnęły w łunie pożarnej krwawym połyskiem obnażone szablice.

— W skok! W nich! Bij! zabij!

Nie zdążył jeszcze rzucić ostatniego rozkazu:

— A brać żywcem jaknajwięcej! — gdy pluton porwał się z miejsca i jak grom runął na zajętego rabunkiem nieprzyjaciela.

Pędzili jak wicher...

Głuchy tętent kopyt końskich zwrócić musiał uwagę rabusiów, gdyż paru z nich wysunęło się z opłotków, by zobaczyć, kto to ku nim pędzić może.

Lecz nim powtórzyć zdołali zapytanie:

«W e r d a?—legli na ziemi, rozsiekani szablami...

Krzyk bólu, jaki wydarł się z ich piersi, zwrócił uwagę towarzyszków, zajętych rabunkiem na podwórzu.

Porzucili wszystko i pędem zbiegli się wokoło swojego dowódcy.

Ten przyłożył dłoń do czoła na kształt daszka, bystrym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń, jakby chcąc przeniknąć otaczające ich mroki nocy.

Lecz naraz, ujrzawszy przed sobą oddział jeźdźców zbrojnych, połyskujących w łunie pożaru obnażonemi szablami, obejrzał się szybko po gromadzie swoich, i wysunąwszy się naprzód, z szablą w ręku, spytał po niemiecku:

— Kto jesteście?

A na to w odpowiedzi huknął mu porucznik Stanisław:

— Poddajcie się... jesteście otoczeni, wszelki opór będzie próżnym!

I jakby chcąc powiększyć grozę sytuacji, gromkim głosem wydawał rozkazy:

— Zachodzić od prawego skrzydła... od lewego!... Szykować broń!... Cel!...

Chrzęst odwodzonych przez strzelców kurków u karabinków stropił niemało dowódcę Prusaków, który chcąc ubiedz ową fatalną komendę: «pall!» wznosił szpadę do góry i zawołał:



— Stać!... Kto panowie jesteście? Kto wami dowodzi? Jakiem prawem nas napadacie?

— A wy jakim prawem zajmujecie się rabunkiem?—zapytał kapitan Jan.

— Prawem zwycięzcy! odrzekł zapytany—prawem silniejszego...

— Z praw zwycięzcy nie możecie tu korzystać, gdyż kraj ten należy do sprzymierzeńczych i cieszy się opieką najjaśniejszego cesarza Napoleona. A co do prawa silniejszego, to i my z niego korzystać będziemy i wystrzelamy was jak kaczki!

— Protestuję przeciwko temu! — wrzasnął przestraszony nie na żarty Prusak — protestuję... I zaraz dziś zaniosę skargę na postępowanie wasze... zaraz staniecie przed sądem wojennym!..

Lecz słowa jego przyjęte zostały szyderczym śmiechem.

— Dobrze... będziesz się pan, kapitanie, skarżyć na nas, gdzie chcesz, a nawet my sami cię tam zaprowadzimy. A tymczasem, pozostawiamy ci minutę czasu do poddania się... Jeżeli nie zrobisz tego, użyjemy broni...

Wahanie odbiło się na twarzy kapitana Prusaków...

Co robić? Gdyby przeświadczonym był o małej liczebności napastujących, to rzucić się na nich ze swoim oddziałem, pokonać i w ten sposób nauczyć wtrącania się w nie-

swoje sprawy było, według niego, najlepszym wyjściem z tego położenia.

I chciwym wzrokiem liczył otaczające obrońców postacie. Skończył wreszcie... Drapieżny uśmiech rozjaśnił mu twarz... A toć ma on swoich dwa razy więcej; taki przeciwnik niestraszny mu; pokona go z łatwością i zmusi do ustąpienia.

I obejrzawszy się na swoich, niby dla wydania rozkazu poddania się, rzucił przez zęby rozkaz:

— Szykuj broń!... W nich!..

I nim strzelcy polscy obejrzeć się zdołali, już huzarzy pruscy siedzieli im na karkach, siekąc, rąbiąc, mordując.

Rozpoczęła się walka, zajadła, rozpaczliwa walka o śmierć lub życie.

Lecz cóż szczupła gromadka rycerzy polskich uczynić mogła wobec liczebności wroga. Walczyli rozpaczliwie, drogo sprzedając życie, jeden za drugim z gromadki walił się na ziemię, Prusacy brali górę, z piersi ich wydobywały się chrapliwe okrzyki zwycięstwa.

Zdawało się, że już wybiła ostatnia godzina dla strzelców polskich, gdy naraz na drodze wiejskiej rozległ się tentent kopyt konskich, a potem dźwięk trąbki i głos komendy i nim ktośkolwiek obejrzeć się zdołał, na karki zajętych walką Prusaków runął jakiś nowy oddział...



Sytuacja w jednej chwili uległa zmianie; Z bijących i zwyciężających, Prusacy zostali bitymi i zwyciężanymi.

Gęsto trupem zalegli pobojowisko, a pozostali przy życiu wyciągali szable, wołając:

— Pardon! pardon!...

Kapitan Jan i porucznik Stanisław, pokiereszowani srodze w czasie tej utarczki, odetchnęli z ulgą... Z ciekawością przyglądali się przybyłemu im z pomocą oddziałowi--.

Nie byli to jeźdźcy regularni. Ubrani byli coprawda w strój jednakowy, lecz nie był to mundur żadnego z oddziałów Wielkiej Armji. Na czele ich stał młody chłopiec o nadzwyczaj energicznej, pełnej zadumy, młodzieńczej twarzycze.

— Brać ich pod straż!—rzucił rozkaz swoim, poczem zbliżając się do kapitana Jana, skłonił mu się po wojskowemu i rzekł:

— Przybyłem, zdaje się, w porę... Żeby to dłużej potrwało, pokonaliby waćpanów i dokończyli rabunku...

— Dziękujemy serdecznie za pomoc — odrzekł mu kapitan Jan — lecz kto waćpan jesteś, byśmy wiedzieli komu dziękować mamy.

Zachmurzyła się twarz młodzieńca, odrzekł spiesznie:

— Nazwisko moje nic waszmość panom nie powie... Zabierzcie raczej tych jeńców i ran-

nych i powieźcie do obozu, a ja udam się swoją drogą...

— O nie—zaprotestował kapitan Jan energicznie — według przepisów wojennych każdy oddział, nie należący do składu armji, ujętym być musi i odprowadzonym do obozu, do wódza... I waszmość pan posłusznym temu być musisz i udać się z nami...

Zabłysnęły oczy młodzieńca... Zmarszczył brew i spytał:

— A jakbym nie był temu posłuszny?

— Z przykrością wielką — odrzekł kapitan Jan—musiałbym użyć broni i siłą poprowadzić waćpana z jego ludźmi do obozu...

Zamyślił się młodzieniec, wreszcie spytał:

— Kto dowodzi?

— Marszałek Berthier! — odrzekł kapitan Jan.

— A gdzie cesarz? — brzmiało dalsze pytanie.

— Dąży drogą do Wilna.

— A więc dobrze—rzekł młodzian po chwili namysłu — i tak moje drogi prowadziły tam... Udam się z wami... Zarządzcie tylko, by tych Prusaków odpowiednio strzeżono... Teraz zostawcie mnie w spokoju... Gdy odjeżdżać będziecie, stawię się na wasz rozkaz!

I usunął się, znikając w cieniach nocy, a kapitan Jan rzucił jeńcom pruskim rozkaz



a ci wnet posiadali z koni i złożyli broń na ziemi.

Wtedy otoczyli ich strzelcy polscy wraz z jeźdźcami zagadkowego młodzieńca, z bronią przygotowaną do strzału, podczas gdy reszta zajęła się gaszeniem ognia wraz z miejscowymi ludźmi.

Kapitan pruski zaklął gniewnie i zawołał:

— Jakem kapitan von Reimers, gdybym miał wszystkich ludzi przy sobie, gdyby nie byli popili się, jak bydło, inaczejby sprawa cała się odbyła... nie poddaliśmy się wam tak łatwo. Zresztą nasz generał rozprawi się z wami...

— Dobrze, lecz w pierw marszałek porozumie się z wami, co do tego rabunku—odrzuć mu kapitan Jan i nie zważając na niego, skierował się do stojącej nieruchomo na środku dziedzińca grupy, złożonej z młodej panny, starszej niewiasty i chłopca z rusznicą.

Na twarzach ich znać było jeszcze przerażenie, spowodowane napaścią, oraz zdumienie, wywołane dalszemi wypadkami.

Kapitan Jan skłonił się im i rzekł:

— Mogą panie spokojnie wracać do dworku, gdyż żadne niebezpieczeństwo ze strony tych napastników już im nie grozi...

— Bóg zapłać stokrotnie waćpanu, panie oficerze—rzekła starsza niewiasta—wyratował nas waćpan ze srogiej opresji, która niewia-

domo, jakby się skończyła, gdyby nie skuteczna i bohaterska pomoc waszmość panów...

I ukłonem dziękowała im za to, a wraz z nią dzięki składała i młoda panienka. Tylko chłopiec stał nieruchomo, lecz uwaga jego tak całkowicie pochłoniętą była widokiem broni i błyszczących mundurów, że nic a nic nie mogło oderwać go od tego...

— Obowiązkiem i powinnością naszą to było—odrzekł jej na to kapitan Jan—lecz może pani cześnikowa zechce opowiedzieć nam całą tę historję, byśmy ją należycie przedstawić wodom mogli...

— Dobrze, powiem ją waćpanom—odrzekła cześnikowa Opocka—lecz pozwólcie waćpanowie do dworu, który cudem ocalał od pożogi.. Tam lepiej nam będzie mówić...

I poszła przodem ku dworowi, a za nią młoda panna... Obydwaj oficerowie mieli już iść za nią, gdy naraz rozległ się głos kapitana von Reimers, który zawołał:

— Panie kapitanie, domagam się, imieniem prawa, ażebyś zabrał z sobą i tego małego zbója, który wystrzałem z rusznicy powalił jednego z moich żołnierzy..

Jan spojrział na niego zdziwiony i spytał:

— Jakto?... ten dzieciak?...

— Tak jest—syknął Prusak z nienawiścią—domagam się tego, ażeby stawiony został przed sądem marszałka i poniósł karę...



— Dobrze, dobrze—odrzekł mu machinalnie kapitan Jan i skierował się za idącymi przodem.

Ogień, energicznie gaszony przez ludzi pani cześnikowej przy pomocy strzelców konnych, zmniejszył się znacznie, rzucając tylko gdzieś tam krwawe odbłyski; zalewano więc i rozrzucano zgliszcza...

W największym pokoju dworu rumszyskiego, zastawionym starami, pamiętającemi jeszcze czasy pradziadów, meblami, a oświetlonym kilkoma świecami woskowymi, pani cześnikowa usiadła w głębokim fotelu, mając córkę przy sobie, a chłopiec z rusznicą stanął z tyłu po za nią. Obydwaj oficerowie zajęli miejsca naprzeciwko niej.

Cześnikowa siedziała przez chwilę z zamkniętymi oczyma, jakby zbierając rozproszone nawalem wrażeń myśli, aż wreszcie cichym głosem mówić zaczęła:

— Wczoraj był u nas z rekwizytem oficer ze sztabu francuskiego i wydaliśmy mu wszystko według nakazu... Zdawało się nam, że na tem się skończy, zwłaszcza, że na formujące się pułki kawalerji narodowej złożyłam też odpowiednią ofiarę. Naraz dziś wieczorem, przed samym zmierzchem, zajechał przed dwór na czele swoich żołnierzy ów pan kapitan i gdy podstarości wyszedł na jego spotkanie, gburowato zaczął się domagać wydania mu

różnych rzeczy. Podstarości odmówił mu tego, tłómacząc, że już wszystko wydane zostało, a wtedy kapitan ów wpadł w szalony gniew i klnąc grubjańsko po niemiecku, począł krzyczeć na podstarościego, a gdy ten odpowiedział mu coś, jednym cięciem szabli rozciągnął go na ziemi...

Wypadłam mu na ratunek, lecz kapitan ów, jakby szalem opanowany, jeszcze więcej krzyczeć począł, wreszcie dał rozkaz żołnierzom swoim, ażeby siłą zabierali wszystko, a za karę kazał podpalić brogi.

Rozpierzchli się wnet żołdacy po wszystkich zabudowaniach i zaczęli grabić wszystko, co tylko napotkali po drodze. Wkrótce niebo rozbłysnęło luną pożaru.. To według rozkazu kapitana podpalono brogi. Jednocześnie rozległ się jęk i płacz służby folwarcznej, którą bili żołnierze w razie stawiania oporu lub niezbyt prędkiego wykonywania ich rozkazów.

O ratunku przed szerzącym się coraz bardziej pożarem nie było nawet i mowy...

Zagarnął wreszcie wszystko i już zabierał się do odwrotu, gdy naraz posłyszaliśmy, jak rzucił żołnierzom swym rozkaz, by podpalili dwór.

Struchlałyśmy.. A więc dom przodków naszych, jedyne nasze schronienie, uledek miało zniszczeniu? Marynia, opanowana rozpaczą,



wybiegła do kapitana, by błagać go o ratunek. Za nią wysunął się niepostrzeżenie i Kazio. Kapitan przyjął jej prośby szyderczym śmiechem, odepchnął ją i już ponowił swój rozkaz, gdy naraz rozległ się strzał i żołnierz, znajdujący się obok kapitana, runął nieżywy na ziemię... Wśród Niemców zapanował popłoch. Upłynął pewien czas, zanim wrócili do równowagi i zaczęli poszukiwać sprawcy owego strzału...

Znaleźli go... Był to Kazio... Chłopiec, porwany gniewem na ohydne czyny Prusaków, widząc błagania siostry, odepchnięte przez kapitana z szyderstwem, porwał rusznicę ojcowską i wystrzelił z niej, mierząc do kapitana.. Chybił jednak i zabił żołnierza.

Gniew Prusaków był trudnym do opisanie. Wywleczono mnie z dworu i słyszeć musiałam, jak kapitan wydawał żołnierzom swoim rozkazy powieszenia Kazia... Wysłuchałam rozkazu tego napozór spokojnie, choć i rozpacz i żądza zemsty szalały w mem sercu... Lecz twarz mą przybrałam w zimną obojętność, gdyż nie chciałam, jako Polka, okazywać wrogowi swej rozpacz.

Bóg wie, coby się stało z nami, gdybyście waćpanowie nie przybyli z pomocą. Wam zawdzięczam życie Kazia i swoje, oraz ocalenie siedziby pradziadów!

Wysłuchali tej opowieści obydwaj oficerowie, wreszcie kapitan Jan rzekł:

— Tak, przybyliśmy w porę. Kapitan i jego żołnierze zostaną przez nas odstawieni do marszałka, by za czyn swój ponieśli zasłużoną karę. Lecz — tu przerwał na chwilę, jakby namyślając się nad wyrażeniem tego, co miał powiedzieć — lecz... i syn pani cześnikowej.. jechać z nami musi.

— Jakto?! — zawołała cześnikowa z przerażeniem.

— Kapitan von Reimers domaga się tego, oskarżając chłopca o zabicie żołnierza. Trudno, czas wojenny teraz, takie prawo... i my musimy być posłuszni jego żądaniu!

Cześnikowa pobladła, przenosiła oczy z syna na córkę, to znów na obydwóch oficerów, wreszcie, podnosząc się z miejsca, rzekła pełnym mocy i stanowczości głosem:

— A więc i ja pojedę z nim, ja stanę wraz z nim przed marszałkiem i opowiem mu wszystko, opowiem i syna mego wyratuję...

— Mamusiu — rzekła cicho panna Marynia, tuląc się do matki — ja tu sama nie zostanę... pojedę z mamusią i Kaziem.

Krótko tym razem trwał namysł pani cześnikowej.

— Dobrze — odrzekła — pojedziesz, by znów



nie najechało cię jakie hultajstwo z niesłusznemi żądaniami.

I odzyskawszy całą swą energję i sprężystość, pani cześnikowa porwała się z miejsca i poczęła wydawać służbie rozkazy co do przygotowań do drogi, oraz na czas swej nieobecności.

W pół godziny potem z podwórca rumszyskiego dworu ruszył długi orszak. Pluton strzelców konnych oraz jeźdźców tajemniczego młodzieńca, otaczał pierścieniem bezbronych Prusaków, siedzących na koniach, oraz brykę parokonną, wiozącą panią cześnikową Opocką z synem i córką.

Świtało już, gdy przybyli do obozu. Porucznik Stanisław powiódł jeńców do kwatery pułkownika, składając szczegółowy raport z zaszyłych wypadków, oraz meldując o przybyciu pani cześnikowej Opockiej w sprawie syna i tajemniczego młodzieńca z jego oddziałem.

### III.

#### Przeгляд cesarski.

Sprawę napadu na dwór w Rumszyskach pan marszałek Berthier rozpatrzył bardzo prędko i sprawiedliwie.

Po wysłuchaniu obydwóch stron, po przesłuchaniu kapitana Jana, porucznika Stanisława, oraz żołnierzy z ich plutonu, a zarazem i wszystkich skarg pani cześnikowej Opockiej, butny kapitan skazany został na degradację oraz oddany miał być pruskim władzom wojskowym, by go stosownie ukarały.

Sprawa Kazia, dzięki wstawieniu się generała Chłopickiego, również rozstrzygniętą została.

Pomimo oskarżeń kapitana, pomimo domagań się tegoż, ażeby chłopiec został surowo ukaranym, marszałek Berthier, po wysłuchaniu pani cześnikowej i córki jej, które ze łzami błagały go o sprawiedliwy wyrok, odrzekł:

— Wolny jest!

A gdy kapitan zaczął protestować, dodał:

— Napadałeś pan jak zbój, jak zbója też cię przyjęto. Gdybyś postępował tak, jak nakazywały ci prawa i obowiązki, możesz być pewien, że chłopiec nie częstowałby cię kulą z rusznicy.

Pani Opocka gorąco podziękowawszy za ten wyrok, już szykować się miała do wyjazdu, gdy naraz nowa okazała się przeszkoda...

— Niech mama i Marynia jadą do domu — oświadczył Kazio — a ja pozostanę, zaciągnę się do wojska i pójdę wojować.

— Ależ ty dzieciuch jeszcze jesteś — tłó.



maczyła mu matka — tacy na wojnę nie chodzą; do żadnego pułku cię nie przyjmą.

— Mamusiu — odrzekł jej Kazio — a toć tatuś nieraz opowiadał, że nie miał czternastu lat gdy uciekł z domu do konfederatów barskich, by walczyć pod panem Pułaskim. . A ja mam już piętnaście... I ja mogę służyć ojczyźnie, tak jak mój rodzic... Zresztą w niektórych pułkach francuskich widziałem doboszów jeszcze mniejszych ode mnie...

Cóż mogła poradzić wobec takiej argumentacji jedynaka pani cześnikowa? Z bólem musiała przystać na żądanie jego, zwłaszcza, że pan generał Chłopicki, który znał niegdyś męża jej nieboszczyka, poparł go słowami:

— Pozwól mu waćpani zostać. Teraz i tak niebezpieczeństwo mu nie grozi, a gdy utrudzi się porządnie, to sam zapragnie powrotu na łono macierzyńskie. A i waćpani wraz z córką nie radzę siedzieć na wsi, gdyż za wojskiem wloką się zazwyczaj gromady maruderów, które niszczą i rabują wszystko, co tylko na drodze swej napotkają. Nie byłyby więc panie zbyt bezpieczne w swych Rumszyszkach bez męskiej obrony...

Pani cześnikewa zdecydowała się usłuchać rady doświadczonego w bojach generała. Rada nie rada ustąpić musiała naleganiom Kazia i zgodzić się na wstąpienie jego do pułku legji nadwiślańskiej, sama zaś, pod osłoną do-

danych jej dla bezpieczeństwa czterech strzelców konnych, wróciła do Rumszyszek, by zabrawszy stamtąd niezbędnie potrzebne rzeczy. udać się do Wilna, gdzie czas wojny przepędzić umyśliła.

I tajemniczy młodzieniec przyjęty został na oddzielnem posłuchaniu przez marszałka Berthier.

Długi czas pozostawali sam na sam, rozmawiając o czemś żywo, wreszcie marszałek odprowadził go aż za próg, z oznakami szacunku.

Tegoż samego jeszcze dnia ogłoszono w rozkazie dziennym, że porucznik Habdank z oddziałem swoim przyłączonym zostaje do strzelców konnych.

W ten sposób kapitan Jan, porucznik Stanisław oraz tajemniczy porucznik Habdank, którzy ku sobie zapłonęli sympatją, znaleźli się razem, służąc pod jednym sztandarem.

Tymczasem wojska wielkiej armii śpiesznym marszem posuwały się drogą ku Wilnu.

A droga była ciężką bardzo. Deszcz, lejący prawie bez przerwy, rozmoczył wszystko, zamieniając drogi w grzązkie topiele. A przytem zerwał się wiatr zimny, przejmujący, przedzierający się przez przemoczone mundury do gołego ciała, ziębiący je, mrozący...

Żołnierze skostnieli do cna, przeziębli, zacierali co chwila ręce, przekładając broń z ra-



mienia na ramię. Wódki na rozgrzewkę zabrakło w manierkach, a wśród szeregów słyseć się dało szemranie.

— Dla czego nie wyznaczono nas do przedniej straży—mówili starzy wojacy, przyjmujący udział w niejednej bitwie — tam przynajmniej moglibyśmy się bić, rozgrzelibyśmy się walką, a tu cierpi człowiek nędzę, nie widząc nawet nieprzyjaciela.

— Patrzcie! — zawołał Stanisław Wicherski do przyjaciół, wskazując na zburzone wokół wioski, na roztaczającą się wszędzie pustynię, zupełnie jak po przejściu Tatarów — patrzcie, co się stało z tego kwitnącego niegdyś kraju! Pustka, nędza, ruina!

Te słowa posłyszał niemłody już kapitan Ratomski, jadący opodal, i odwracając się do rozmawiających, rzekł:

— Cesarz zaczyna wstępować w ślady Karola XII. Idąc naprzód, w głąb Rosji, pozostawia za sobą Polskę niezorganizowaną, Litwę spustoszoną. W razie najmniejszej klęski, wracać będziemy musieli przez pustynię. A wtedy skutki byłyby bardzo smutne!

Ta ponura przepowiednia wywarła na przyjaciół nadzwyczaj przygnębiające wrażenie, zwłaszcza, że nie po raz pierwszy słyszeli to zdanie.

A deszcz lał bez przerwy....

Na biwakach podchodzili do ognisk oko-

liczni mieszkańcy, przechodem wojsk doprowadzeni do ostatecznej nędzy, wyciągając ręce, żebrząc o wsparcie. Żołnierze polscy czem mogli wspomagali bratnich Litwinów, litując się ich niedoli.

— Nie tak było w Galicji, nie tak — szepnęła cicho, z bólem kapitan Jan, a porucznik Stanisław przytwierdził mu skinieniem głowy.

Gdy tak w dniu 30 czerwca odpoczywali na biwaku, do uszu ich doszedł głuchy huk jakiś...

— Działa grają! — zawołał któryś z żołnierzy.

Huk powtórzył się raz i drugi. Gdzieś w oddali widocznie toczyła się utarczka. Po jakimś czasie ucichło wszystko.

Naszym przyjaciołom ścisnęły się serca. Słyszeli odgłos pierwszej bitwy, a w iluż jeszcze sądzonem będzie wziąć im samym udział? Ileż razy jeszcze walczyć będą wśród ogłuszającej muzyki tych dział, wśród wrzawy bitewnej, otoczeni przez obcych żołnierzy, nierozumiejących zupełnie ożywiających ich uczuć?

Ci wszyscy Francuzi, Niemcy, Włosi i inni, szli na bój. szli na walkę, dla tego, że tak im kazał wszechpotężny genjusz Napoleona, że pchnęła ich do tego wszechmocna wola jego. Szli i dlatego, że liczyli na nagrody, na łupy i zdobycz bogatą.

Lecz to nigdyby nie popchnęło Polaków



do walki. Dla łupu, dla zdobyczy nie poszliby na krwawy bój, nie naszliby obcej ziemi!

Wiedział dobrze o tem Napoleon i dla zachęty, dla podniesienia na nogi całej ludności, rzucił hasło tej wojny: druga Polska wojna!

I dla tego hasła, dla kilku słów wypowiedzianych umiejętnie w danej chwili, szły szeregi polskie na krwawy, śmiertelny bój!

Tak doszli do Zakretu, majątności generała Beningsena, gdzie we wspaniałych komnatach pałacu, zda się, unosiły się jeszcze echa niedawnej hucznej muzyki, wesołego gwaru wystrojonych gości, zebranych na balu, wyprawionym przez gospodarza na cześć cesarza rosyjskiego Aleksandra.

Minęli go i dotarli do prastarej stolicy Litwy, Wilna.

Tylne strażę wojsk rosyjskich opuszczały miasto, pozostawiając poza sobą łuny pożarów płonących magazynów, oraz mostu drewnianego, przerzuczonego przez Wilnę, gdy przez rogatki miejskie na Pohulance wkroczyły pierwsze oddziały kawalerji polskiej i francuskiej.

Wielka radość opanowała mieszkańców, gdy ujrzeli wkraczający do miasta oddział jazdy polskiej pod wodzą Dominika ks. Radziwiłła. Powszechne uniesienie wzbudził widok

wyborowej jazdy ze znakami narodowemi, pozostającej pod przewodnictwem najmłodszego na Litwie rodu.

A tymczasem na Pohulance przyjmował deputację miejską dowódca przedniej straży francuskiej, król Neapolu, marszałek Murat.

Wysłuchał przemówienia powitalnego, przyjął klucze miejskie i rzekł:

— Podążcie, panowie, do Ponar. Tam zatrzymał się cesarz. Jemu hołd złożcie i miasto oddajcie.

Deszcz lał strumieniami, gdy deputacja stanęła przed cesarzem w Ponarach.

Przybrany w swój szary surdut, w kapeluszu bez ozdób na głowie, siedział na małym szpakowatym koniku, trzymając w ręku szpicrutę, którą od czasu do czasu uderzał się po butach. Wysłuchał przemówienia deputacji, poczem odrzekłszy słów parę o swych dobrych chęciach dla mieszkańców Litwy, wydał wojskom rozkaz wkroczenia do miasta.

Pomimo ulewy, tłumy mieszkańców wyległy na ulice, witając wojska gromkimi okrzykami radości:

— Niech żyje cesarz! Niech żyją Francuzi!

Pełne zachwytu i radości okrzyki wzmogły się i spotęgowały stokrotnie, gdy ukazał się otoczony świetnym sztabem sam cesarz Napoleon.



— Niech żyje cesarz! Niech żyje zwycięzca!—rozległy się huczne okrzyki.

A Napoleon jechał, jak zwykle, poważny, zadumany, ze wzrokiem utkwionym w dal.. Nie zatrzymując się nigdzie po drodze, podążył prosto nad brzeg Wilji, gdzie przez chwilę przyglądał się szczątkom dopalającego się mostu.

Zwrócił się potem do towarzyszącego mu marszałka Berthiera i rzekł:

— Trzeba wystawić dwa mosty, by wojska mogły przejść na drugą stronę.

Rozkaz ten powtórzono generałowi Eble, dowódcy saperów gwardji, którzy natychmiast przystąpili do pracy nad budową mostów.

Następnie cesarz udał się do oświetlonej rzeźnicy katedry, gdzie przyjmowało go duchowieństwo.

Po odprawieniu modłów dziękczynnych, odczytano z rozkazu cesarza odezwę o oswobodzeniu stolicy Litwy. Stało się to tego samego dnia i o tej samej godzinie, co i w Warszawie.

Obydwie stolicy potężnej niegdyś Rzeczpospolitej jednocześnie z woli Napoleona uzyskały wolność.

Lecz stolica Litwy nie okazywała z tego powodu tak wielkiej radości, jak mieszkańcy Warszawy. Z większem niedowierzaniem przy-

jęli zapowiedziane wolności, z nieufnością patrząc na olbrzymią armję, postępującą tak, jakby się znalazła w kraju zdobytym.

Przymowani gościnnie, z całą serdecznością, żołnierze wielkiej armji nie poprzestawali na tem, lecz gdy mieszkańcy nie mogli zadość uczynić ich wygórowanym domaganiom, siłą zabierali wszystko, rujnowali i niszczyli dobytek biedaków.

Próżne były skargi i zażalenia na tę samowolę. W olbrzymiej masie żołnierzy skargi ginęły bez śladu, rozbrzmiewały bez echa.

Tymczasem cesarz Napoleon gorączkowo pracował. Zajęty opracowywaniem nowych praw dla prowincji litewskich, ustanawiał tam nowe rządy, zaprowadzał nowe porządki. Dokonywał też przeglądu pułków, odchodzących na plac przyszłych bojęw.

W ten sposób nasi przyjaciele ujrzeli po raz pierwszy cesarza.

Od samego rana pułk strzelców konnych otrzymał rozkaz szykowania się do przeglądu. Zawrzało w nim od przygotowań. Czyszczono mundury, broń, konie... Każdy starał się wyglądać jaknajlepiej, prezentować jaknajwspanialej, by nie przynieść wstydu sztandarowi, pod którym służył.

Cesarz będzie ich oglądać, cesarz! Po raz pierwszy staną przed nim!

Oficerowie sami pilnowali przygotowań, do-



glądając wszystkiego, kontrolując najmniejszy szczegół. Wreszcie przygotowania skończone. Pułk może stanąć przed cesarzem...

Ostatni rzut oka i stępa udali się wszyscy na plac, przeznaczony do przeglądu. Stały tam już inne pułki, przeznaczone do przeglądu dnia tego.

Oficerowie sztabu wskazywali miejsca, kierowali wszystkim.

Na twarzach obecnych znać było niepokój, każdy drżał, czy baczne oko cesarza nie dostrzeże gdzie jakiego uchybienia.

Wreszcie rozległy się sygnały, zawarczały bębny, rozbrzmiały trąbki.

Cesarz jedzie!... Napoleon!...

Wszyscy naraz zamarli w miejscu, wyprostowani jak struny, wstrzymując oddech, z wzrokiem utkwionym w stronę, z której winien był się ukazać...

A on jechał na siwym rumaku, siedząc niebale na siodle, w szarym swym surducie, zamysłony, poważny.

Wjechał Napoleon na środek placu i bystrem spojrzeniem ogarnął stojące w ordynku szeregi. Zdał się wzrokiem swoim sięgać aż do głębin duszy każdego z wojaków, czytać w niej jak w rozwartej księdze.

Wszyscy z zapartym w piersi oddechem czekali, co dalej nastąpi...

W milczeniu przeglądał cesarz pułk za pułkiem, które witały go pochyleniem sztandarów. W oczach żołnierzy widniało ciche uwielbienie, zda się, można było w nich wyczytać:

— Za tobą, wodzu, na krańce świata pójdziemy! Dla ciebie damy życie w ofierze!

Cesarz, zsiadłszy z konia, szedł przed temi wyprostowanymi szeregami, patrząc w twarz każdemu z żołnierzy.

I coraz przystawał przed którymś, witając go, nazywając po imieniu i nazwisku, pytając go o rany, o bitwy, w których przyjmował udział.

I tak szedł od pułku do pułku, od oddziału do oddziału. Aż wreszcie doszedł do miejsca, gdzie stały pułki polskie.

Badawczo przyglądać się im zaczął, lustrując wzrokiem postawę ich i moderunek żołnierski. Pochylony do marszałka Berthier, rzucił mu krótki rozkaz, który tenże powtórzył dowódcy pułku.

Dowódca wyprostował się w strzemiionach i z pełnej piersi huknął:

— Naprzód, marsz! Czwórkami od prawego!

I oddział cały zwinął się w czwórki i równo, wzorowym marszem począł iść naprzód.

Komenda następowała po komendzie, zwrot za zwrotem. Szeregi strzelców zwiły się,



rozwijały swe skręty, tworzyły coraz nowe figury...

Aż wreszcie padł nowy rozkaz:

— Stać!

Kolumna stanęła jak wryta. Cesarz, podsunąwszy się blisko, zaczął rozmawiać z pułkownikiem.

Wtem wzrok jego padł na stojącego tuż za pułkownikiem kapitana Jana Garlińskiego i spoczął na zdobiących pierś jego orderach.

Zdziwienie odbiło się na twarzy cesarza, podsunąwszy się bliżej, spytał krótko:

— Ile lat masz kapitanie?

Garliński zapłonął się, lecz nie spuszczać oczu z twarzy Napoleona, odrzekł śmiało z ręką u czaka:

— Dwadzieścia jeden, wasza cesarska mości!

— Bardzo młody! W jakich bitwach byłeś? — pytał dalej Napoleon.

— Pod Górą, Toruniem, Sandomierzem — recytował Garliński.

— Zuch! — rzucił krótko cesarz — staraj się tak dalej, a zajdziesz wysoko.

Kapitan spłonął się znowu, a Napoleon posunął się dalej i spostrzegł udekorowanego porucznika Stanisława Wicherskiego.

— Za co order? — spytał.

— Góra, Sandomierz, Zamość — wasza cesarska mości!

— Ile lat?

— Dziewiętnaście...

Napoleon pokręcił głową i rzuciwszy jeszcze:

— Bardzo młodzi, bardzo młodzi! — ruszył dalej.

Nagle stało się coś zgoła nieprzewidzianego: marszałek Berthier zbliżył się do cesarza, szepnął mu coś do ucha, a następnie skinieniem ręki przywołał porucznika Habdanka, przedstawiając go wielkiemu wodzowi.

Napoleon badawczo popatrzał na młodzieńca, przyłożył rękę do kapelusza i rzucił krótko:

— Po przeglądzie proszę do mojej kwatery.

Bohaterowie nasi czuli się wniebowziętymi. Cesarz zauważył ich, cesarz rozmawiał z nimi, rozpytywał ich!...

Wnet przyskoczył do nich jeden ze sztabadjudantów, rozpytując się o nazwiska, o rangę i pułk, i notując to skrętnie w książeczce.

Po skończonym przeglądzie otoczyli ich zwartem kołem koledzy z różnych pułków, wieszowali, ściskali ręce, składali życzenia.

Dzień cały trwała ta uroczystość, a oni byli jej bohaterami.

Największe jednak zainteresowanie budził porucznik Habdank, osobistość tajemnicza, milcząca, której władza wyższa okazywała nadzwyczajne względy.



Wieczorem, gdy zostali sami, porucznik Stanisław rzekł do kapitana Jana:

— Wiesz, jak spojrzał na mnie przenikliwie swemi oczami, jak przemówił, to jakby w człowieka piorun trzasł... I gotów już człowiek iść za nim i w ogień, i w wodę i życie dać za niego!

— Tak, — przytwierdził przyjacielowi kapitan — ma on w sobie coś imponującego i porażającego, lecz to nie ksiązę Józef.

— Tak, to nie ksiązę Józef. Tamtego się kocha, a tego...

— Się boi! — dokończył za druha kapitan.

#### IV.

### Krzyżowa droga.

Nie długo popasała wielka armja w Wilnie. Zaraz na drugi dzień po przeglądzie wszystkie pułki ruszyły w drogę, kierując się w stronę Oszmiany, Mińska i Smoleńska.

Słońce żarem promieni swych paliło wszystko i wszystkich, a tu na domiar złego, nigdzie nie było widać wody.

Zmożeni upałem i pragnieniem żołnierze setkami walili się na drodze, konając w mę-

kach, obojętnie mijani przez towarzyszków, miażdżeni często przez toczące się działa.

Do szeregów zaczynała się nadobrze wkraść dezorganizacja, nieład i brak karności... Dyscyplina się rozluźniła, pułki szły w nieładzie, rozrzucone na znacznej przestrzeni.

Za nimi jeszcze ciągnęły tłumy maruderów, zebranych ze wszystkich pułków, składających wielką armję Szli objuczeni różnym dobytkiem, który zagrabili u okolicznych mieszkańców, syci, najedzeni, myśląc tylko o tem, gdzieby jak największą zdobycz zagarnąć, gdzieby się jak najlepiej obłowić!

Szli, podobni do hyen drapieżnych, węsząc, gdzie może być żer, gdzie mogą znaleźć łup obfity... Liczba ich rosła z dniem każdym, potężniała, a wśród nieszczęsnych mieszkańców kraju, przez który przechodzili, rosła rozpacz, trwoga i nędza!

Na domiar złego po paru dniach upalnej pogody, poczęły znów lać deszcze, zamieniając drogi w grzązkie, błotniste topiele, w których zapadały się działa i potrzeba było połączonego wysiłku wielu ramion ludzkich, ażeby je wyprowadzić na twardszą drogę.

Oburzenie wzrastało. Oskarżano urzędników i oficerów, którym cesarz powierzył zaprowadzenie armji i dopilnowanie porządku.

W dywizji polskiej stan rzeczy przedsta-



wiał się znacznie lepiej, lecz mimo to w każdej kompanji brakowało po kilku ludzi.

Armja zbliżała się już do Mińska, gdy nadjechał dowodzący dywizją generał Claparède, francuz, wyniosły, dumny i bez serca. Rozkazał wystąpić wszystkim kompanjom i począł liczyć żołnierzy.

Gdy okazał się znaczny ich brak, rozgniewał się srodze i począł robić wymówki generałowi Chłopickiemu. Lecz ten nie pozostał bez odpowiedzi:

— Panie generale — odrzekł — marsze nocne, brak żywności, ogołocenie biwaków z najkonieczniejszych rzeczy, sam wybór miejsc na biwaki, oddalonych od wody i miasteczek, ciągle sypianie na rozmokłej ziemi, a przytem zły przykład, jaki płynie od innych oddziałów armji, dostatecznie tłómaczą ten objaw zdemoralizowania wojsk, słynących dotychczas za wzorowe. Dwie wielkie bitwy stoczone z wrogiem — zakończył generał Chłopicki — nie spowodowałyby tak wielkich strat, jak te, które nastąpiły skutkiem braku karności i niedostatku pożywienia od chwili przejścia Niemna.

Generał Claparède nie odrzekł nic na te słowa, tylko mruknąwszy coś pod nosem, odjechał.

Natychmiast też wyruszono w drogę i w dniu 10 lipca część wielkiej armji Napoleońskiej,

z marszałkim Davoust na czele, wkroczyła do Mińska.

I tu, podobnie jak w Wilnie, tłum mieszkańców wyległ na przyjęcie wkraczających szeregów wybawców. I tu najznakomitsi obywatele witali i przyjmowali wojska francuskie, a drogę przed marszałkiem i świtą jego wysłano kwiatami, sypanemi przez żony i córki tychże.

Rozbłysła światłem prastara katedra mińska, zapelniła się tłumem w różnobarwne stroje i mundury i przyodzianym, podczas nabożeństwa dziękczynnego.

Odprawiał je ks. biskup miński, a obok najprzedniejszych obywateli miasta zajął miejsce marszałek Davoust ze sztabem swoim, oraz deputacje wszystkich pułków, składających korpus marszałka.

Od ołtarza biegły słowa modłów dziękczynnych, przepelniał katedrę wonny dym kadziidel, mieszający się z ostrym zapachem potu ludzkiego..

Naraz przy wejściu do katedry rozległ się gwar jakiś, zmieszane głosy, i przez tłumy modlących przedzierać się zaczął oficer służbowy; przedostawszy się do marszałka, zaczął coś szeptać do ucha.

Marszałek zmarszczył gniewnie brew i rzucił swoim adjutantom jakiś rozkaz. Zaraz jeden



z nich zaczął się przeciskać przez tłum ku wyjściu i zabrawszy z sobą będącą na służbie przy kościele kompanję strzelców konnych, pod dowództwem kapitana Garlińskiego, skierował się spiesźnie w stronę, skąd dobiegał odgłos jakby tłuczenia szyb, jakby rozbijania czegoś, a jednocześnie rozpaczliwy krzyk:

— Gwałt!... Rozbój!... Na pomoc! na ratunek!..

Krzykom tym towarzyszyły dzikie śmiechy i wrzaski. To przywykłe już do grabieży w pochodzie bandy maruderów, rzuciły się do rabowania wielkich składów sukna i innych sklepów.

Garliński rzucił rozkaz swej kompanji i wnet rabusie zostali otoczeni.

Próbowali stawiać opór, lecz widząc wymierzoną ku sobie broń, jeden za drugim porzucali zrabowane rzeczy i odstawali się w ręce żołnierzy, którzy wiązali im ręce sznurami i brali pod straż.

Jeden z ostatnich poddał się przywódca rabusiów. Zbliżał się z głową spuszczoną, starając się zakryć twarz, ażeby nie być poznany.

Zaciekawiło to kapitana Garlińskiego. Podsunął się ku niemu i schwytałszy za ramię, zmusił do podniesienia głowy.

— Kapitan von Reimers!— wyrwał się z ust jego okrzyk.

Rozbójniczy kapitan, rzuciwszy mu spojrzenie pełne nienawiści, połączył się z swoimi podkomendnymi.

Otoczonych poprowadzono do głównej kwatery, gdzie natychmiast z rozkazu marszałka Davoust zebrał się sąd wojenny.

Wina była oczywistą, zaprzec się jej nie mogli. Wyrok zapadł też bardzo prędko. Też jeszcze wieczoru rozbójniczy kapitan wraz z połową kompanjonów został rozstrzelany za miastem.

Dzień ten obfitował w moc różnych wypadków; pod wieczór mianowicie przybył goniec, dążący z korpusu księcia Józefa Poniańskiego do cesarza. Zatrzymał się przez czas pewien w głównej kwaterze marszałka Davoust i w czasie zmiany konia złożył mu relację.

Jak głosiły wieści, które przedostały się do obozu, nie była ona zbyt pomyślną... Oto ni mniej, ni więcej, korpus piąty, pozostający pod komendą brata cesarskiego, Hieronima, króla Westfalji, poniósł dotkliwą porażkę pod Mirem, na Wołyniu.

Jak wieści głosiły, przyczyną klęski był król Hieronim, który obawiając się o cerę swoją i o całość skóry, zwlekał i zwlekał z ostatecznym atakiem, hamując działalność księcia Józefa.

I oto pod Mirem przednia straż, złożona



z 3000 jazdy pod generałem Roźnieckim, zetknęła się z nieprzyjacielem, siły którego liczyły 8000 kozaków, 5000 jazdy regularnej, dwa pułki piechoty, oraz 50 dział.

Z szaloną, zuchwałą wprost odwagą rzucił się generał w wir bitwy, licząc na to, że król Hieronim przybędzie mu z pomocą, i że wspólnymi siłami zniosą cały oddział nieprzyjacielski, lecz przeliczył się. Sześć godzin trwała zjadła walka na śmierć i życie z przemagającą siłą, a przez ten czas król Hieronim zwlekał z przybyciem z pomocą i pomimo nalegań księcia Józefa, nie decydował się rzucić wszystkich oddziałów w wir bitwy.

Aż wreszcie, gdy już czwarta część dywizji legła, począł się cofać do głównych sił korpusu, pozostawiając zwycięzkiego nieprzyjaciela na polu bitwy.

Księżę Józef wysłał zaraz gońca z raportem do cesarza i marszałka Davoust, żądając rozkazów co do dalszego pochodu.

Wiść ta wywarła przygnębiające wrażenie na wszystkich, lecz najbardziej przejęty był marszałek Davoust.

Wreszcie coś postanowił, gdyż przywoławszy jednego z bardziej zaufanych adjutantów, począł mu szybko dyktować list. Skończywszy, polecił zawezwać do siebie generała Chłopcickiego, do którego rzekł:



Księżę Józef Poniatowski.



— Panie generale, proszę bardzo dać mi z pośród swoich oficerów kogoś, ktoby znał dobrze te strony i potrafił przemknąć się do księcia Józefa Poniatowskiego. Uprzedzam cię, generale, że musi to być oficer pewny, mężny i łatwo orjentujący się w sytuacji, by go nieprzyjacieli nie zagarnęli...

— Dobrze, panie marszałku—odrzekł krótko generał Chłopicki i wyszedłszy z głównej kwatery, skierował się do stanowisk pułków polskich.

Przez drogę przebiegał w myśli wszystkich oficerów pułków polskich, zastanawiając się nad każdym, wybierając, któregooby wysłać z niebezpiecznym poselstwem.

Nikt mu jednak nie przychodził na myśl, zwłaszcza taki, ktoby znał dobrze te strony.

Doszedł tak do biwaku i udawszy się do pułkownika, wprost mu wyluszczył polecenie marszałka.

Pułkownik chwilę namyślał się, wreszcie rzekł:

— Zdaje się, że jeden tylko porucznik Habdank zna te strony. On jeden byłby odpowiednim do wykonania tego polecenia.

— Zawezwij go pan, pułkowniku — rzekł generał Chłopicki.

Gdy młodziutki porucznik zjawił się, Chłopicki spytał go krótko:

— Poruczniku, czy znane ci są te strony?

— Znam je — odrzekł zapytany.

— Czy znasz boczną drogę do Nieświeża? — pytał dalej generał.

— Znam każdy zakątek.

— Znakomicie — rzekł generał Chłopicki — a więc, poruczniku, pojedziesz tam z nader ważnymi zleceniami do księcia Józefa Poniatowskiego. Lecz wiedz o tem, że wszystkie drogi zajęte są przez oddziały nieprzyjacielskie. Potrzeba przemknąć się wśród nich i strzedz się, ażeby nie wpaść w ich ręce.

— Dobrze, panie generale — odpowiedział porucznik Habdank.

Generał Chłopicki wstał z miejsca i rzekł:

— Przyszykuj się do drogi, poruczniku, byś za godzinę mógł wyruszyć. Po list i instrukcje zajedź do kwatery marszałka!

Zanim upłynęła godzina, porucznik Habdank zameldował się u marszałka.

Davoust przez dłuższą chwilę mierzył go badawczem spojrzeniem, wreszcie rzekł:

— Poruczniku... zlecenie jest niezmiernie ważne, niebezpieczne i ciężkie, czy wywiążesz się z niego należycie? czy podasz mu?

— Wypełnię! — krótko lecz stanowczo odpowiedział zapytany.

Marszałek jeszcze raz spojrział nań baczenie i podając list, położył mu rękę na ramieniu i rzekł:

— Poruczniku, list ten w żaden sposób nie



powinien dostać się w ręce nieprzyjaciół... Zbyt ważne zawiera on wiadomości i zbyt wiele mógłby wyrządzić nam szkody...

Porucznik wziął list z rąk marszałka i kryjąc go na piersi, odrzekł:

— Nawet w razie mej śmierci nieprzyjaciela go nie dostanie!

---

V.

### Niebezpieczeństwo.

---

Porucznik Habdank prawie do wieczora jechał głównym traktem, postanawiając dopiero po wypoczynku puścić się znaną mu dobrze drogą boczną, wśród lasów.

Jechał ciągle naprzód, a gdy już i koń ze znużenia potykać się zaczął, zwolnił nieco biegu i podązał truchtem, decydując się, w razie nie odnalezienia jakiegokolwiek schronienia, zatrzymać się w lesie dla odpoczynku i popaść konia na polanie.

Zmierzczać się już zaczęło, gdy ujrzał w dali migocące jakieś światelko.

Przyśpieszył biegu rumaka i kierując się owym światelkiem, zaczął dążyć ku niemu, spodziewając się znaleźć tam schronienie i posilek dla siebie i konia.

Światelko, w miarę przybliżania się, powiększało się, rosło, aż wreszcie w mroku nocy dostrzegł przed sobą ni to chatę, ni to dworek, o słomianej strzesze, z ganeczkiem, otoczony ostrokołem.

Zeskoczył z konia i podszedłszy do zamkniętej bramy, dobijając się zaczął; w odpowiedzi na powstały hałas, z poza ostrokołu rozległo się donośne ujadanie gromady psów.

Światelko w okienku zgasło i dworek stał cichy, martwy.

Porucznik powtórzył dobijanie, lecz prócz szczekania psów, żadnej nie posłyszał odpowiedzi.

Zdjął go gniew, począł walić z całej siły nogami i głowicą szabli w zapartą bramę.

Wreszcie zdało mu się, że słyszy szmer jakiś, jakby otwieranie drzwi i kroki czyjeś.

Przestał na chwilę dobijać się i wreszcie posłyszał głos ochryply, mówiący:

— Zaprzeście dobijania się i idźcie dalej... Radzę to po dobroci, gdyż inaczej strzelać będę...

Porucznik zawołał:

— Wstrzymaj się waść ze strzelaniem i wpierw wysłuchaj, co ci powiem. Jestem podróżnym, proszę o nocleg, za który zapłacę sownie.

Przez chwilę trwało milczenie i znów głos ten sam, co pierwej, spytał:



— A iluż was tam jest? I kto waszmoście jesteście?

— Sam jestem. Oficer legji polskiej cesarza Napoleona.

Znów chwilowe milczenie, potem kroki, stąpanie, i krwawy błysk światła rozjaśnił podwórze. Zbliżył się do bramy i przez szczelinę w niej ktoś wyjrzał ostrożnie na drogę, oświetlając stojącego za nią porucznika.

Po chwili brama rozwarła się ze skrzypem, i porucznik, prowadząc konia za uzdę, wszedł na podwórze.

Przedewszystkiem bacznie spojrzeniem obrzucił otwierającego mu bramę czleka.

Był to mężczyzna niemłody już, niski, krępy, o twarzy jakby z gruba toporem obciosanej, z sumiastemi wąsami i oczach, w których widniała zawziętość i upór. Ubrany był, mimo ciepłej nocy, w kozuch, a w ręku trzymał rusznicę.

Przez chwilę przyglądał się bacznie postaci porucznika, aż wreszcie, spostrzegłszy na ramionach jego szlify oficerskie, skłonił się i rzekł:

— Pan oficer pozwoli do chaty, konika zaś zaprowadzę do stajni.

— Nie — odrzekł żywo porucznik — waść pozwoli, że ja go tam poprowadzę i dam paszę. Poproszę tylko waćpana o owies i siano, za które zapłacę...

Gospodarz pokręcił głową i poprowadził go do stojącej tuż nieopodal chaty niskiej stajenki, w której obok dwóch krów stały trzy małe, lecz silne koniki, żmudzkiej rasy.

Obok nich stanął rumak porucznika.

Gospodarz patrzył już na swego gościa nieco przyjaźniej i wprowadzając go do świetlicy, skromnie umeblowanej, rzekł:

— Rozgość się tu, panie oficerze, a ja tymczasem każę ci przygotować coś do posiłku.

Po niedługiej chwili drzwi rozwarły się i mały pacholek wniósł kandelabr, z płonącymi w nim świecami woskowymi, a za nim ukazał się i gospodarz, lecz jakżeż zmieniony. Zamiast kozucha, miał na sobie żupan granatowy, wąsy podkręcone do góry, a na nogach żółte buty.

Podszedł do porucznika i wyciągając do niego rękę, rzekł śpiewnym, litewskim akcentem:

— Miło mi przywitać waszmość pana, panie oficerze, pod moim dachem. Jestem Roch Rumejko, herbu Prus II, były towarzysz chorągwi lekkiej pana wojewody wileńskiego.

Na to przedstawienie się skłonił się porucznik imć panu Rumeyce i odrzekł:

— Porucznik pułku strzelców konnych legji polskiej cesarza Napoleona, Habdank.

Zdziwienie odbiło się na twarzy gospodarza.



— A z których to Habdanków? — zapytał przeciągle — boć to herb tylko...

Porucznik zapłonił się i odrzekł szybko:

— Rodzina moja nieznaną w tych stronach. Wywodzi się z Wołynia.

Gospodarz nie pytał już o nic więcej, tylko spojrzał badawczo na gościa.

W tej chwili zjawił się znów pacholik, niosąc tym razem na tacy omszały gąsior miodu i szklanice.

— Czemu chata bogata, tem rada, dobrodzieju mój; jedz, pij i nie gań.

Porucznik mimowoli roześmiał się, wspominawszy na poprzednie przyjęcie, i nie mógł się powstrzymać, aby nie rzec:

— A jednak chciałeś mnie waszmość pan kulką z rusznicy uczęstować.

Zasepiło się oblicze imć pana Rumeyki.

— Daruj mi to, dobrodzieju mój, ale w tych niespokojnych, wojennych czasach człek niczego i nikogo pewien nie jest. Tyle się teraz włóczy tu różnych maruderów, że człek wciąż drży o całość swej skóry. Dziś rano mi mówiono, że w pobliżu ukazali się kozacy...

— Kozacy! — zawołał porucznik — czyżby zapuścili się oni tak daleko?

— Widocznie, gdyż mówił mi o tem jeden ze szlachty z Lipowieckiego zaścianka. Widział ich, jak przemykali się drożyną leśną.

Niepokój odbił się na twarzy porucznika, a imć Rumeyko ciągnął dalej:

— Lecz nie tylko przed kozakami lęk ima człeka. Słyszałem ci ja, że i maruderzy cesarza Francuzów nie lepiej postępują i rabunkiem nie gardzą. Że gdzie przejdą, to tam już śladu życia nie zostawiają. A że człowiek na stare swe lata nie chciałby iść po żebrach, więc strzedz się musi i...

I pan Rumeyko machnął ręką znacząco, a porucznik zamyślił się nad tem, co słyszał.

— Zwycięstwo pod Mirem — zakonkludował w myśli — dodało im takiej śmiałości, że aż tu zagony swe zapuszczają.

A tymczasem drzwi od przyległej izby rozwarły się i ukazała się w nich korpulentna postać imć pani Rumeykowej, za którą dziewczka służebna niosła na tacy dymiące się półmiski z wieczerzą.

Pan Rumeyko przedstawił żonie gościa, i tenże, zaproszony do jedzenia, z całą forszą swego wygłodzonego kilkunastoletniego żołądka, przypuścił atak do smacznego bigosu, kurcząt pieczonych i kołdunów.

Wesoło upływał czas na gawędce, zwłaszcza, że kielichy z miodem gęsto krążyły, gdy naraz rozległo się jakieś dobijanie do bramy i hałas na dworze. Pan Rumeyko porwał się z miejsca i począł nasłuchiwać. Dobijanie się nie ustawało.



Wyrzał wtedy ostrożnie na dwór i po chwili wrócił poblady, szepcząc:

— Kozacy! będzie ich z pół setki...

Porucznik, który stał w miejscu, trzymając rękę na szabli, zawołał:

— Na miły Bóg! Nie puszczaj ich waszmość, trzeba się bronić, trzeba ich odpędzić!

— Lecz kto będzie się bronić? — odrzekł pan Rumeyko, rozkładając ręce — kiedy prócz waćpana, mnie, pacholka i dziewczek, żywej duszy w zaścianku niema, a ich pół setki!

Porucznik namarszczył czoło i przez mógg jego przebiegło pytanie:

— Co teraz robić?

A tam wciąż dobijano się.

— Wylamią wrota — szepnął pan Rumeyko pobladlemi ustami.

Nagle w głowie porucznika błysnęła myśl:

— Czy z zagrody waszmość pana jest inne wyjście? — zapytał szybko.

— Jest z tyłu, poza ogrodami.

— Ujdę niem, gdyż zbyt ważne mam przy sobie papiery, by wpaść mogły w ręce nieprzyjaciół. Jadę z posłaniem od marszałka Davoust do księcia Józefa Poniatowskiego.

Pan Rumeyko nie namyślał się długo.

— Ja z nimi tu się zabawię rozmową — rzekł — a pacholek przeprowadzi waćpana do owego przejścia i wskaże drogę.

Pocichu wysunęli się z izby i podczas gdy pan Rumeyko przy bramie rozpytywał dobijających się przybyszów, porucznik, prowadzony przez pacholka, poomacku skierował się do stajni, gdzie zapoprężywszy należycie swego gniadosza, udał się w tył domu, za ogrody. Dochodzili już do owego przejścia, gdy posłyszeli skrzywienie otwieranej bramy i głośnie klątwy i wymysły przybyszów.

Porucznik, dosiadłszy gniadosza, pomknął w mrok nocy, drożyną, wskazaną mu przez pacholka. Gniadosz wypoczął sobie i podjadł, raźnie też mknął naprzód, parskając od czasu do czasu.

Jeździec z głównego gościńca skręcił na boczną, leśną ścieżynę, orjentując się co do kierunku światłem gwiazd, błyszczących na wyiskrzonym niebie.

Niedługo poczęło świtać i łatwiej mógł już zorientować się co do miejsca, gdzie się znajdował.

Według obliczeń musiał już przejechać więcej, niż jedną trzecią część drogi i znajdował się w pobliżu Stańkowa. Korzystając z tego, że koń wypoczął w czasie pobytu u imć pana Rumeyki, jechał prawie że do południa.

Zdaleka ominąwszy Stańków, skręcił z drożyny w bok lasu i tam, wynalazłszy polankę, zarosłą miękką, puszystą trawą, puścił konia



luzem, by popasł się trochę, sam zaś, przyległszy w cieniu wielkiego dębu, przymknął oczy i wkrótce zasnął mocno.

Nie spał długo. Słońce chylić się poczynało ku zachodowi, gdy przebudził się.

Porwał się na równe nogi i przetarłszy oczy, rozejrzał wokoło. Gniadosz pasł się spokojnie w pobliżu, i w boru panowała głucha cisza...

Nie namyślając się długo, choć głód porządnie dawał mu się we znaki, zacisnął popręg siodła i czemprowadziej wskoczywszy na konia, pomknął w dalszą drogę.

Wypoczęty gniadosz niósł go raźnie. W ten sposób ominął bór i wjechał na wązką ścieżynę, ciągnącą się wśród niskich chojaków, między którymi niekiedy przeblyskiwała zwierciadlana powierzchnia kałuż błotnistych.

To słynne bagniska, ciągnące się od Stańkowa prawie że do samego Niemna.

Ostrożnie jechał tą ścieżyną, zdając się na instynkt konia, wiedząc dobrze, że bagna te wciągną w swą głębię śmiałka, który się na ich złudną powierzchnię wstąpić odważy... wessą go, grzebiąc tam na wieki.

Zmrok już zapadł, a on nie minął jeszcze tych topielisk, nie wydobył się z pośród nich.

Pomału, ostrożnie, noga za nogą, posuwa się naprzód młody porucznik, wpijając wzrok

w mroczną dal, jakby chcąc przebić nim otaczającą go ciemnicę.

Wierny gniadosz ostrożnie stąpa po ścieżynie, instynktem czując, że każdy krok w bok, każde zboczenie z prostej drogi śmiercią grozi.

Jak długo trwała ta podróż męcząca, trudno określić. Po jakimś wreszcie czasie zdało mu się, że na prawo od siebie spostrzegł błyszczące w oddali światelko. Przetarł oczy, myśląc, że to złuda lub omamienie jakieś...

Lecz nie... Światelko owo błyszczy w oddali, tak jak wczoraj, w dworku Rumejki, drgając lekko.

Skierował rumaka w tamtą stronę, lecz cóż to? gniadosz stawia opór, odmawia posłuszeństwa!

I choć szarpie uzdą, choć szpicrutą uderza go po bokach... nie chce iść naprzód, z cichem rzeniem, jakby trwogi, cofając się w tył.

A światelko błyszczy, migocąc złudnie, wabiąc ku sobie...

W porywie gniewu porucznik zarył ostrogi w bokach gniadosza i ten, z głuchem rzeniem rzucił się w bok.

Lecz co to? nogi jego nie natrafiły na żadne oparcie, toną... zapadają się w głąb...

Po niewczasie poznał porucznik, że to topiel bezdenne rozciąga się wokoło niego, że z głębi tej przepaści śmierć wyciąga ku niemu swe szpony.



Zaczął szarpać rumaka, by zmusić go do cofnięcia się na twardą ścieżynę, lecz napróżno; pociągany ciężarem swym gniadosz coraz głębiej zapadał się w przepaść.

A tu noc nieprzenikniona wokoło, a tam w oddali migocze zwodnicze światelko..

Widzi porucznik, że niema żadnego ratunku, postanawia więc poświęcić rumaka, byle samemu spełnić rozkaz marszałka.

Wydobywa nogi ze strzemion i zsunąwszy się z siodła na kłęb konia, powoli szuka nogami, czy nie natrafi w tyle na twardy grunt, na ścieżkę, którą dążył naprzód.

Namacał ją wreszcie i jednym skokiem znalazł się na niej.

Odetchnął z ulgą. Podczas tej walki o życie nie wypuścił jednak z ręki uzdeczki, i teraz poczyna ciągnąć ku sobie gniadosza... A nuż i jego uratuje?

Koń z trudem odwrócił się w topieli bagnistej i po chwili wsparł przednie nogi o twardy grunt ścieżki.

Chwila jeszcze, a wydobyty z trzęsawiska rumak, drżąc całym ciałem po stoczony śmiertelnej walce, z cichym rzeniem stoi obok swego pana na wąskiej ścieżynie.

A tam, w oddali, światelko owo migocze, skacząc, tańcząc, a tuż obok niego pojawiają się inne, kręcą się w jakimś piekielnym chorowodzie...

Poznał porucznik, że światelko owo, które brał za płomyk ognia w chacie, było tak zwykłym w owych stronach błędnym ognikiem, ludzającym nieraz ludzi i wiodącym ich na trzęsawiska, na śmierć pewną w ich głębi.

Bojąc się ruszyć naprzód, by znów nie narażać się na także samo niebezpieczeństwo, stał porucznik na ścieżynie, trzymając krótko za uzdę gniadosza.

Na szczęście noce lipcowe nie są długie.

Po paru godzinach oczekiwania, ponury, nieprzebity mrok nocy zaczął się rozjaśniać, szarzeć i wreszcie na wschodzie ukazywać się zaczęły różowe przebłyski świtu.

Westchnienie ulgi wyrwało się z piersi młodzieńca. Męczące, pełne naprężenia nerwów oczekiwanie skończyło się.

Wskoczył na wypoczętego już rumaka i widoczną wśród trzęsawisk drożyną ruszył naprzód.

Zwodzące go ogniki zgasły; wokoło rozciągała się płaska, przecięta tylko gdzieniegdzie kępą trawy lub niskimi krzakami przestrzeń topieli.

Ostrożnie posuwał się naprzód, pomny na straszne niebezpieczeństwo, jakie przeżył w ciągu nocy.

Słońce wzeszło, zalewając całą ziemię snopem złotych promieni, a jednocześnie porucznik Habdank z trzęsawisk wjechał w głąb boru.



Teraz dopiero odetchnął, i przynagliwszy konia do szybszego biegu, zaczął podążać naprzód.

Znał te strony dobrze i wiedział, że po za tym borem rozciąga się niewielka piaszczysta płaszczyna, poza którą toczy swe sine fale Niemen, po przebyciu którego już tylko parę godzin drogi dzieli go od Nieświeża.

Po godzinnej jeździe zatrzymał się przy srebrzystym strumieniu, z cichym szmerem wijącym się wśród mchów i traw. Zeskoczył z konia, napił go, sam również orzeźwił się zimną wodą i puściwszy gniadosza na trawę, począł zbierać jagody, by choć trochę zaspokoić dręczący go głód.

Wkrótce znów jechał dalej i gdy bór się skończył, porucznik ujrzał przed sobą rozciągającą się płaszczynę, a za nią ozłoczone słońcem fale Niemna.

Wyjechał z boru i płaszczyną pomknął ku rzecie, by szukać brodu, gdy naraz z boku ukazał się znaczny podjazd, składający się z jeźdźców, siedzących na niskich koniach, z długimi pikami przy boku.

Porucznik poznał ich zaraz i serce zamarło mu w piersi.

— Kozacy!

Zmierzył okiem przestrzeń, dzielącą go od rzeki i zaciąwszy gniadosza, piorunem rzucił się ku wodzie.

Lecz i kozacy go dostrzegli. Wydawszy głośny okrzyk, z wysuniętymi naprzód pikami, na zwinnych swych konikach rzucili się w po-goń...

Gniadosz rwał z kopyta, jakby czując grożące niebezpieczeństwo.

Uciekający pochylił się na jego szyi i mknął naprzód, byle tylko dopaść zbawczych fal rzeki, po przebyciu której mógł się czuć bezpiecznym.

Lecz wypoczęte zwinne, choć małe, koniki kozackie, nie ustępowały w szybkości biegu gniadoszowi, a nawet, gdy znużony drogą, zaczął się potykać, coraz bardziej zbliżały się do niego.

Rozległ się huk strzałów i kule ze świstem przebiegły koło uszów porucznika.

Ścisnął konia ostrogami i wydobywszy szablę z pochwy, mknął naprzód.

Dobiegał już do rzeki, gdy posłyszał tuż za sobą tętent kopyt końskich, oraz krzyk:

— Stoj! stoj!

Obejrzał się... To jeden z kozaków, na zwawszym, niż towarzysze, koniu, wysforował się naprzód i z szablą, wzniesioną do cięcia, zbliżał się do niego.

Odwrócił się i przypuściwszy go bliżej do siebie, natarł na niego.

Zwarły się szable, zadźwięczała stal. Ciężko dysząc ze zmęczenia i mierząc się pełne-



mi nienawiści oczami, walczyli ze sobą, wreszcie porucznik Habdank, więcej wyćwiczony w fechtunku, jednym zręcznym ruchem wytrącił z rąk kozaka szablę i ciął go potężnie przez głowę.

Kozak zachwiał się, rozkrzyżował ręce i runął przez łeb konia na ziemię.

Z ust nadbiegających towarzyszków jego wydarł się okrzyk gniewu i wściekłości.

Dwaj, najbliżej będący, rzucili się ku porucznikowi, lecz ten błyskawicznym ruchem wydobywszy z olster pistolety, wymierzył do nich, a kozacy, rażeni kulami, jeden po drugim, zwalili się na ziemię.

Zaciął znów gniadosza i jak piorun rzucił się w stronę Niemna.

A w ślad za nim biegły okrzyki kozaków.

Kule świstały mu koło uszu, lecz on pędził jak wicher i po chwili znalazł się w nurtach Niemna.

Rozprysnęła się przed nim woda w tysiącznych kropkach; gniadosz, zanurzywszy się w wodzie, począł płynąć.

A kule uderzały obok nich w wodę, na szczęście jednak żadna nie razila ani porucznika, ani konia.

Powoli gniadosz posuwał się naprzód, a kozacy, stanawszy na brzegu, strzelali raz za razem. Kilku z nich szykowało się już do skoczenia w wodę, gdy naraz z lasu, położo-

nego na przeciwległym brzegu, wysunął się oddział jeźdźców.

Jednym spojrzeniem objęli sytuację i dostrzegłszy uchodzącego przed pościgiem jeźdźca w mundurze polskim, zerwali z ramion karabinki i salwą odpowiedzieli na strzały kozaków, mierząc przedewszystkiem w tych, co się już do rzeki w pogoń rzucili.

Jeden z nich stoczył się z konia do wody, a pozostali, widząc, że uciekającemu przybyła pomoc, zawrócili.

Zabrzmiało jeszcze parę salw i kozacy, widząc, że nic już nie poradzą, odjechali od brzegu, zabierając z sobą rannych i zabitych towarzyszków.

Ostatnim wysiłkiem porucznik skierował gniadosza do brzegu.

Jak przez mgłę widział ich postacie. Gdy gniadosz stanął na twardym lądzie, pochylił się wyczerpany głodem i znużeniem i zsunął się z siodła na ziemię.

— Na Boga! czy nie ranny? — zawołał oficer, prowadzący podjazd, a nachylony nad porucznikiem, siwy już wąsaty sierżant oglądał go bacznie.

— Nie, panie poruczniku, nie ranny, tylko znużony i wyczerpany.

Przyniesiono wnet wódki, poczęto trzeźwić omdlałego i po chwili Habdank, gdy wlano



mu w usta łyk gorzalki, otworzył oczy i błędnie powiódł niemi wokoło.

— Gdzie jestem?—zapytał.

— Nad brzegiem Niemna — odpowiedział porucznik, dowodzący podjazdem.

— A księżę Józef gdzie?—pytał dalej.

— Tuż, nieopodal, w Nieświeżu — była odpowiedź.

Wtedy Habdank uniósł się, chciał wstać, lecz wyczerpane głodem i znużeniem siły odmówiły mu posłuszeństwa.

Zrozumiał stary sierżant przyczynę tego, i sięgnąwszy do wiszącego przy siodle mantelzaka, wydobyl stamtąd kawał chleba i słoniny i podając to wraz z manierką wódki, rzekł poprostu:

— Pozwólcie, poruczniku.

Habdank porwał jadło i zaczął polykać kęs za kęsem, byle tylko zaspokoić głód, szarpiący trzewia.

Nasycił się trochę, wypił jeden i drugi łyk wódki, i oddając sierżantowi manierkę, rzekł:

— Bóg zapłać, sierżancie.

— Daj Boże na zdrowie!

Habdank sięgnął do kalety, chcąc go wynagrodzić za to, lecz tenże zawołał szybko:

— Daruje pan, panie poruczniku, lecz nic mi się nie należy!

A wtedy Habdank wyciągnął do niego rękę i rzekł wzruszonym głosem:

— Da Bóg, sierżancie, odwdzięczę się wam w inny sposób.

Uścisnęli sobie mocno dłonie, poczem porucznik zaczął się oglądać za koniem.

Gniadosz stał opodal, skubiąc zieloną, soczystą trawę.

— Panie poruczniku — rzekł Habdank — proszę o danie mi żołnierza, któryby zawiódł mnie do głównej kwatery księcia Józefa. Dążę z ważnymi listami od marszałka Davoust.

— Dobrze — odrzekł zapytany — sierżant z dwoma szeregowcami będzie panu towarzyszyć, lecz chyba na tym koniu nie będzie pan mógł jechać dalej, gdyż wkrótce padnie.

Porucznik Habdank spojrział na swego gniadosza.

Rzeczywiście, stan jego godzien był politowania. Uciążliwa, forsowna droga położyła na nim swe piętno.

A porucznik mówił dalej:

— Weźcie konia którego z szeregowców, a pański pójdzie z nami luzem. Przyprowadzimy go do obozu.

Habdank przystał na to i wskoczywszy na



konia, pomknął z kopyta, prowadzony przez sierżanta i szeregowców.

Zmierzch już zapadał, gdy wjechali w istne miasto namiotów i szałasów, rojące się od żołnierzy w polskich mundurach.

— Książę Józef w głównej kwaterze? — spytał sierżant spotkanego na drodze żołnierza.

— Tak jest, dopiero co powrócił od króla.

— A król wykąpał się już w mleczku? — pytał sierżant drwiąco.

— Nie, jeszcze krówek nie wydoili — nie mniej drwiąco odrzekł żołnierz.

W chwilę potem stanął porucznik przed pałacem nieświeskim, gdzie główną kwaterą stanął książę Józef.

Wybiegł do niego adjutant, któremu rzucił:

— Proszę zameldować księciu... z listem od marszałka Davoust.

Adjutant znikł za drzwiami, z poza których rozległ się po chwili dźwięczny głos:

— Prosić!

Porucznik wszedł. Książę Józef siedział przy stole, zasłanym papierami, pilnie pracując. Rzucił wzrokiem na wchodzącego i rzekł:

— Podobno masz pan, poruczniku, list do mnie od marszałka Davoust?

— Tak jest, wasza książęca mości — odrzekł porucznik, wydobywając z zanadru list i podając go księciu.

Książę Józef rozerwał pieczęć i zaczął śpiesznie przebiegać list oczami. W miarę czytania, marszczyło się czoło jego, aż wreszcie gorzki uśmiech wykrzywił mu usta.

Skończył czytać, złożył list i zwracając się do porucznika, rzekł:

— Jakżeś, poruczniku, zdołał się przedrzeć do mnie? Czyż nie napotkałeś kozaków?

— Napotkałem, wasza książęca mości — odrzekł Habdank i poprostu, w krótkich słowach, opowiedział spotkanie swoje z kozakami w domu imć pana Rumeyki i nad Niemnem.

— To zuch z ciebie, poruczniku, choć jesteś taki młody! — zawołał książę Józef — ale nie myślałem, ażeby kozacy posunęli się tak daleko, aż pod Mińsk. Cóż żądasz, poruczniku, za czyn swój?

— Spać, wasza książęca mości — odrzekł Habdank, ledwie trzymając się na nogach.

Książę Józef uśmiechnął się i przywoławszy adjutanta, rzekł:

— Zaprowadzić porucznika Habdanka do jednej z komnat i dać mu łoże dla spoczynku. Niech mu nic nie brakuje.

A zwracając się do Habdanka, dodał:

— Zobaczmy się z sobą, gdyż marszałek pisze, że możesz, poruczniku, pozostać przy mnie.



Porucznik skłonił się księciu i udał się za adjutantem na górę, do jednej z komnat pałacowych, gdzie stało przygotowane łożo polowe.

Nie rozbierając się, runął na nie i w tejże chwili zasnął mocnym, twardym snem.

KONIEC TOMU I-GO.



75640/1

## TREŚĆ.

Wstęp . . . . .	5
I Nad sinemi falami Niemna . . . . .	24
II Tajemniczy obrońca . . . . .	32
III Przegląd cesarski . . . . .	52
IV Krzyżowa droga . . . . .	66
V Niebezpieczeństwo . . . . .	76



# WYDAWNICTWA M. ARCTA W WARSZAWIE.

## MOJA BIBLIOTECZKA.

### POWIASTKI i OPOWIADANIA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY D) PRZYGODY. --PODRÓŻE.

5. Przygody Robinsona Kruzoa. Z rycin. kol. w opr. — 55  
14. Podróż do środka ziemi, przez *J. Verne*, streściła Antoszka. Z rycinami, w opr. — 50  
22. Przygody dwóch chłopców w Sjamie. Z angielskiego, przez *H. Wernica*, z 7 ryc., w opr. — 65  
25. Przyjaciel Edwardka. Powieść dla młodzieży, przez *E. Berthet*, opr. Br. Brzozowski, z 6 ryc. w opr. — 60  
30. Przez ogień i przez lasy. Zajmujące przygody dwójga dzieci przez *E. S. Ellisa*, w opr. — 55  
33. Młodzież w pięciu częściach świata, przez *Eligjusza Berthet*. Wydanie II, z 40 rysun. w opr. — 65  
43. Pierwsi ludzie na księżycu, podług *C. H. Wellsa*, streściła *M. Strebejko*, z 16 rycinami — 55  
59. W puszczech Afryki, opowiadanie przez *Juljusza Verne*, spolszczyła Br. Kowalska. Z 4 rycinami. — 65  
51. Balonem do bieguna. Powieść dla młodzieży, napisał *Wł. Umiński* z 7 rycinami. — 65  
60. Ludzie dorośli i ludzie mali w obcych krajach. Z angielskiego *E. R. Shaw*, spolsz. H. S. z 35 rys. w opr. — 50  
66. Polowanie na wieloryby i kaszaloty. Opowiedział *F. T. Bullen*, z 4 rysunkami w opr. — 60  
67. Król przestrzeni. Powieść dla młodzieży, przez *J. Verne*, z rysunkami, w opr. — 60  
81. Nasze siostrzyczki w krajach dalekich. Opowiadanie przez *Jane Andrews*, z rycinami, w opr. — 50  
82. Białogłowy. Opowiadanie dla młodzieży, z angielsk. tłum. *A. B.*, w opr. z rycinami. — 40  
90. Robinson tatrzański. Opowiadanie z pierwszej połowy XIX stulecia, przez *St. Gębarskiego*. Wyd. II. z ryc., w opr. — 75  
117. Szymon niewolnik. Powieść na tle prawdziwym z życia murzynów. Tłom. z niem. *L. Trzecińska*, w opr. — 50

### E) POWIEŚCI HISTORYCZNE.

16. Prz. gody towarzysza pancernego, według pamiętników napis. p. *M. Synoradzkiego*. Z ryc., w opr. — 55  
20. Ostatnie dni Pompei. Powieść podług *Bulwera Lyttona*, z 15 rycinami, w opr. — 55



104. Na zamku hrabiowskim. Opowiadania dla starszych dzieci M. *Bujno*. Z rys. A. Gawińskiego opr. — 60
108. Zaczarowane jezioro. Baśń J. *Oseki*. Z rysunkami A. Gawińskiego, w kolor. okładce — 55
115. Wakacje w Olszance. Podług listów Jani napisała *Emilja Westawska* (dla dzieci od lat siedmiu) z rysunkami J. Wolińskiego kart. — 60

B) OPOWIADANIA NA TLE PRZYRODY.

25. Takie sobie bajeczki. Wybór z *Rudyarda Kiplinga*, z 33 rycinami, w oprawie — 60
52. Strzępouch, Matka Liszka, Srebrnoplamik. Opowiadania z życia zwierząt, napisał G. S. *Thompson*, tłumaczyła M. Aret-Golczewska, z licznymi rysunkami — 50
53. Opowiadania prawdziwe i fantazyjne na tle przyrody, przez K. *Ewaldę*, z licznymi rycinami — 50
72. Nowe opowiadania prawdziwe i fantazyjne na tle przyrody, nap. K. *Ewaldę*, z rys. w opr. — 30
83. Dwunożny ujarzmiiciel sił przyrody! Opowiadanie fantastyczno-przyrodnicze K. *Ewaldę*. Z ryc., w opr. — 40

C) POWIEŚCI DLA MŁODZIEŻY.

8. W imię przyjaźni. Powieść, oprac. H. *Wernicę*, z rycinami, w oprawie. — 55
15. Poprawa figlarki. Powieść dla panienek do lat 12, przerobiła z ang. E. *Westawska*, z ryc. w opr. — 55
17. Dług Ojcowski. Powieść dla młodzieży, nap. M. *Jerlicz*. Z rycinami, w oprawie — 55
18. Wytrwałością a pracą. Powieść dla młodzieży, napisał M. *Jerlicz*. Z rycinami, w oprawie — 55
19. Syn marnotrawny. Powieść przez E. *Jerlicz*, z 5 rycinami, w oprawie — 55
29. Brat ociemniały. Powieść dla młodzieży p. H. *Greenę*. tłóm. H. *Wernicę*. Wyd. II, z rycinami w opr. — 60
44. Dawid Copperfield. Opowiadanie dla młodzieży, przez K. *Dickensę*, z 6 rysunkami — 50
64. Dzielną chłopiec. Powieść dla młodzieży, przez Z. *Kowerską* z 4 rysunkami, w oprawie — 70
73. Pałac z piasku. Opowiadanie przez M. *Bujno*, z 4 rys. L. *Ilinicza*, w opr. — 30
74. Mały bohater. Opowiad. z 6 rys. A. Gawińskiego — 25
79. Julek i jego sprzymierzeńcy. Powieść dla starszej młodzieży, przeł. z ang. A. B., z rysunkami. — 60
80. Czarna Elka. Powieść, z opowiadania czeskiego przerobiła M. *Bujno*, z rys. A. Gawińskiego. — 50
87. Polna Róża. Lili. Dwie powiastki dla dorastających panienek, nap. *Iskierka*, z rycinami. — 50

89. Szlachetne serca. Miłosierdzie.—Niekochana.—Poczuć zamiary. Powieści przez *Tereseę Jadwigę*, z rycinami, w oprawie — 60
110. Dzielną dziewczyna. Opowiadanie *Tereseę-Jadwigę*. Z 4 rycinami w opr. — 55
116. Jurek Bronicz. Powieść dla młodzieży K. *Wolińskiej* w opr. —

A) POWIASTKI I OPOWIADANIA DLA MŁODZYSZYCH.

1. Chata wuja Toma. Opowieść o losie niewolników podług *Henrietty Beecher Stowew* opr. — 55
2. Czerwony domek. Opowiadanie p. A. *Hoffmana* — 55
11. Dobre dziewczynki. Powiastki i opowiadania przez *Tereseę Jadwigę*, z rycinami, w opr. — 55
12. Baśnie i powiastki *Andersena*, opracował Zb. *Kamiński* z 4 obrazkami kolorowemi, z ryc., w opr. — 55
21. Marchewka. Przygody małego chłopczyka. Powiastka z 36 rycinami, w oprawie — 55
23. Turkusik, Rubinek i Peretka. Powiastka dla małych dzieci, przez Z. *Budziszewską*, z 48 ryc., w opr. — 60
31. Kocia mama i jej przygody, z własnych wspomnień opisała *Marja Bujno* z licznymi obrazkami — 65
36. Opowiadania babuni dla kochanych wnucząt, podług B. *Schuman*, nap. A. *Domańska*, z 42 rys. L. *Ilinicza* — 55
37. Nowe opowiadania babuni dla kochanych wnucząt, napisała A. *Domańska*, z 40 rysun. L. *Ilinicza* — 65
40. Na wakacjach w Zalesiu. Opowiadanie dla dzieci, napisała *Marja Bujno*, z 27 rycinami — 55
41. Pamiętnik Stacha. Opowiadanie dla dzieci, napisała *Marja Bujno*, z 20 rycinami — 55
45. Bohater Pawełka.—Krzesełko Karolka—Polowanie na lisa—Pieszczoszka. Powiastki, n. M. *Strebejko*, z 13 obr.— 55
70. Ładniutkie powiastki dla małych dzieci, podł. angiels. opr. M. *Głotównę*, z licznymi ryc. w opr. — 40
71. Krótkie opowiadania i obrazki z życia zwierząt, opr. z ang M. *Głotównę*, z licz. ryc. w opr. — 40
77. Król złoty rzeki czyli Czarni bracia. Opowiadanie dla młodzieży przez J. *Ruskinę*, w przekładzie M. *Kreczowskiej*, z rycinami, w opr. — 35
88. Przygody Alinki w krainie czarów. Przez L. *Karrolę*, przerobione z 90-go wyd. ang. z licz. rysunk. — 60
95. Co opowiadałem mojemu małemu synkowi. J. *Bidenkap*. Spolszczyła J. G., z 10 rysunkami. w opr. — 60
- Poezje dla dzieci M. *Konopnickiej*. Wybór zrobiony przez autorkę, w opr. —
98. Na skale mew. Dziwna przygoda dzieci. Powieść z francuskiego J. *Sandeau*. Z 6 rys. — 70



24. **Żołnierzyk burski.** Powieść przez *A. Morzkowską*, z 48 rysunkami, w oprawie — 65
34. **Z dawnych czasów.** Powiastki z historii polskiej, przez *Mitę Koliskównę*. Cz. I, z 27 rys., w opr. — 65
35. — — Część II, z 18 rysun., w oprawie, — 65  
Cz. I i II razem w opr. ozdob. w płótno ang. 1 50
47. **Śługowa i Trembowla.** Dwa opowiadania dziejowe, przez *B. Gryt-Paciorkowskiego*, w oprawie — 50
55. **Zemsta Jaśka**, opowiadanie historyczne z XII wieku. **Zaręba**, opowieść z lat dawnych, napisała *W. Szalayowa*, z rycinami *A. Brzostka* w opr. — 60
75. **Tymko Orlik.** Opowiadanie historyczne, nap. *A. Grudzińska* z rysunkami. — 30
76. **Grzeź z Sanoka.** Opowiadanie historyczne podł. *J. I. Kraszewskiego*, opr. *M. Bujno*, z rys. w opr. — 30
84. **Hanusia Wierzyńkówna.** Powiastka z czasów Kazimierza Wielkiego, napisała *A. Domańska* z ryc. — 50
85. **Dziewięć powiastek historycznych**, przez *Z. Morawską* z rycinami w opr. — 40
100. **Wielka wojna.** Szkic historyczny w pięćsetną rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem. (1410 — 1910). Z rycinami, w opr. kart. 80 kop., w płótno ang. 1 —
105. **W puszczy litewskiej.** Powieść historyczna z XIII wieku, *St. Buraczewskiej*, z 4 rys. w opr. — 70
107. **Witoldowi synowie.** Powieść historyczna, *E. Jezierskiego*. Z 4 rys. *St. Sawiczewskiego* w opr. — 60
114. **Jagienka.** Opowiadanie na tle strasznych dziejów *A. Zielńskiej*. Z 4 rysunkami *H. Piątkowskiego*, w oprawie — 60

#### F) PRZYRODNICZE.

39. **Mitę śpiewaki naszych pól, gajów i ogrodów, ich życie i obyczaje**, skreśliła dla dzieci *Janina Omańkowska*. Z licznymi obrazkami, w oprawie — 40
50. **Młody Chemik.** Zbiór doświadczeń chemicznych dla młodzieży, p. *K. Scheida*, oprac. *L. Br.*, z rys. — 60
54. **Co znalazłem w stawach i kałużach.** Opowiedziała *Marja Weryho*, z licznymi rysunk. w opr. kart. — 40
57. **Goście zimowi i inne powiastki z życia zwierząt**, opowiedział *B. Dyakowski*, z rycinami. w opr. — 70
59. **Co matka przyroda opowiedziała swym dzieciom**, przez *J. Andrews*, tłum. *M. Kreczowska*, z rys. w opr. — 50
58. **Czworo moich przyjaciół i inne opowiadania** przez *J. Andrews*, tłum. *M. Kreczowska*, z rys. w opr. — 50

61. **Zwróć oczy na przyrodę**, napisała *Arabella B. Buckley*. I. **Życie roślin**, opracowała *M. Arct-Golczewska*, z 8 tablic. barwnymi i 35 rysunk. czarnymi, w opr. — 50
62. II. **Życie ptaków**, opracowała *H. Sterling*, z 8 tablicami barwnymi i rysunkami czarnymi, w opr. — 50
63. III. **Życie w lesie i na łące**, opracowała *M. Arct-Golczewska*, z 8 tablic. kolor. czarn. i rysunk. — 50
99. IV. **Staw i rzeka.** Podług angielskiego, z 8 tablicami barwnymi i licznymi rys., w opr. — 60
98. V. **Życie owadów** Opracowała *M. Arct-Golczewska*. Z 8 tablicami kolorowymi i licznymi rysunkami, w oprawie — 60
78. VI. **Drzewa i krzewy.** Tłum. *M. Arct-Golczewska*. Z tablicami kolor. licznymi rys. w opr. — 50
68. **O czym się Janek dowiedział.** Opowieść przyrodnicza nap. *Emil Desbeau* z licznymi rys. w opr. — 70
83. **Dwunożny ujarzmiciel sił przyrody.** Opowiadanie dla młodzi-ży przez *K. Ewalda* z rycinami, w opr. — 40
86. **Z życia zwierząt w niewoli.** Podług *K. Hagenbecka* z licznymi rycinami, w oprawie — 60
103. **Wiosna i inne obrazki z natury**, z licznymi rysunkami *M. Arct-Golczewskiej* w opr. — 70
106. **Jak to było w lesie zimą.** Opowiadanie chłopca. Napisała *J. Chrzęszczewska*. Z licznymi rysunkami i rycinami w opr. — 55

#### G) OPOWIADANIA GIEOGRAFICZNE.

- Twoje ziemie, twoje wody** Szkice malownicze z kraju napisał *K. Chmielewski*. z 9 rysunkami w opr. — 50
- Z teki turysty. Opis pieszej podróży po kraju przez *Z. Dybczyńskiego*, z licznymi rycinami w opr. — 60
- Eskimowie, ich życie i obyczaje**, podług dzieła *F. Nansena*, z rysunkami w opr. — 45

#### KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY.

- Co dzieci czytają w chwilach wolnych.** Zbiór wierszy i poezji przez *A. Dzieduszycką*. w opr. — 35
- Polne kwiaty.** Wybór poezji dla młodzieży, napisał *K. Gliński*, z licznymi ilustr. w opr. — 60 i — 80
- Wakacje w Warszawie.** Pogadanki o osobliwościach Warszawy, przez *W. Marrené*. Z rycinami, w opr. — 80
- Serce.** (Pamiętnik chłopca). Najslynniejsza powieść dla młodzieży, napisał *Ed. Amicus*, przekład *M. Obrąpalskiej*, wyd. III, z 42 ryc., w opr. ozdob. 1 —  
w oprawie ozdobnej w płótno ang. 1 50



**Galernik.** Z powieści *Wiktora Hugo* p. t. *Nędzarze* opracowała dla młodzieży *St. Buraczewska*, z 40 rycinami rb. 1 kop. 20; w opr. ozdobnej w płótno ang. 1 50

**Kazio.** Powieść, przez *W. Marrené*. Z 5 ryc., w opr. 1 —

**losy Adasia.—Ofiara.—Ona.** Trzy powieści, przez *Z. Kowerską*. Z 4 ryc., w opr. rb. 1, w opr. ozd. 1 40

**Paniczyk.** Powieść dla młodzieży, przez *Z. Morawską*, z 15 rycinami, w oprawie 80 kop.; w opr. ozd. 1 20

**Odyskany.—W wiejskiej zagrodzie.** Dwie powieści przez *M. Łopuszańską*, z 4 rycinami, w oprawie 1 — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40

**Gwiazda przewodnia.** Powieść przez *J. Gould*, tłumaczenie *Zofji Hartingh*. Wydanie II, z 4 rycinami w opr. rb. 1 20; w opr. ozdob. w płót. angielsk. 1 50

**Wspomnienia młodej dziewczyny.** Wyd. II. Opowiadanie dla panienek, podług 50 wydania *Klementyny Helm*, nap. *Z. Bukowiecka*. Z 4 ryc., w opr. rb. 1.— w opr. ozd. w płótno ang. 1 50

**Hela.** Opowiadanie ze świeżo przeżytych dni. Napisała *Z. Bukowiecka*, brosz. 1.20 w opr. ozdob. 1.50

**Złota Elżunia,** podług *E. Marlitt*, opracowała *Z. Bukowiecka*, w oprawie rb. 1; w opr. ozd. w płótno ang. 1 50

**Z życia dziewczyny.** Opowiadanie dla starszych panienek, nap. *S. Maszewska*, w oprawie — 60

**Niespodzianki życia.** Powieść dla panienek. Podług *E. Haiden*, napisała *A. Domańska*, brosz. 1.50 w opr. płóc. 2.—

## POWIEŚCI I OPOWIADANIA HISTORYCZNE.

**Grunwald.** Powieść historyczna dla młodzieży, *W. Przyborowskiego*. Z 6 rycinami *Bagieńskiego*, w opr. kart. 1 35, w płót. ang. 1.60

**Z naszej przeszłości.** Wyjątki z najcenniejszych prac i opowiadań historycznych, zebrała *K. Chotoniowska*, w ozd. opr. 1 60

**Paziowie Króla Zygmunta.** Opowiadanie obyczajowe na tle dawnych wieków, przez *A. Domańską*, z rycinami *A. Gawińskiego*, w ozd. opr. 1 80

**Młody konfederat barski.** Powieść historyczna przez *W. Przyborowskiego*. Z 6 ryc. rb. 1 50, w opr. ozd. 1 80

**Wódz narodu.** Powieść z życia *Tadeusza Kościuszki*, nap. *Jerzy Orwicz* z 6 rycinami w opr. 1.20, w ozd. opr. 1 60

**młodzi gwardziści.** Epizod z oblężenia Warszawy w r. 1794. Opowiadanie dla młodzieży, nap. *W. Przyborowski*, z rys. *A. Brzostka* w opr. rb. 1; w ozd. opr. 1 80

**Syn Ukrainy.** Powieść historyczna przez *A. z rys. A. Gawińskiego*, w oprawie **Pokora.** Powieść historyczna dla młodzieży *dzińskiej*. Z 4-ma rysunkami *St. Sawicza* w oprawie

**W pomroce wieków.** Opowiadanie historyczne z dziejów Warszawy, *Al. Jachondowicza*. Z 6 rycinami *Zardeckiego* 1.30

**Wst, czyli pierwsi chrześcijanie w Polsce.** Podług powieści historycznej «Lubonie». Opracował dla młodzieży *W. Leliwa*. Ilustracje kolorowe i ozdoby *A. Gawińskiego*, w ozdobnej oprawie 1.—

**Życie dla ojczyzny.** Powieść *W. Gomulickiego*, z rysunkami *St. Bagińskiego* — —

**Przez krwawe boje.** Powieść historyczna z czasów *Batorego*, nap. *Ed. Jezierski*, w opr — —

**Na dworze królowej Anny Jagiellonki.** Powieść na tle historycznym *Z. Morawskiej*. — —

**Starość w Syntaktyce.** Opowiadanie z czasów saskich przez *M. Mossoczową* (*M. Koliskównę*). Z ilustracjami *St. Sawiczewskiego* — —

**Zdobywanie Sandomierza.** Opowiadanie historyczne z roku 1809, *W. Przyborowskiego* — —

**Nieznany bohater Śląski.** Powieść historyczna *A. Zielińskiej*. Z rysunkami *K. Urbańskiej*. — —

**Stara baśń.** Powieść z IX wieku, przez *J. I. Kraszewskiego*. Streścił dla młodzieży *M. Offmański* z licznymi rysun. w opr. 1 — w ozd. opr. w płótno ang. 1 30

**Czasy Jadwigi i Jagiełły.** Powieść na tle historycznym, przez *Terese-Jadwigę* z 6 rycinami, w opr. 1 — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40

**Na zamku Nasielskim.** Opowiadanie z XVIII w. dla dorastającej młodzieży, nap. *M. Zielińska*, z 10 rysunkami, w opr. kop. 80; w opr. ozd. w płótno ang. 1 20

**Sierota książęcy.** Powieść historyczna z czasów *Zygmunta Augusta*, według powieści *J. I. Kraszewskiego*, streścił *St. Brzozowski*, z ilustracjami *L. Illicza*, w oprawie rb. 1, w ozdobnej oprawie 1 50

**Branka litewska.** Powieść na tle historycznym, p. *M. Zielińska*, z 4 ryc., w opr. 90; w opr. w płótno ang. 1 30

**Nad wodami Bałtyku.** — **Panna Marychna z Oporowa.** — **Wojevodzie Spiski.** Trzy powieści, przez *A. Borkowską*, z rycinami, w opr.—60, w ozd. opr. w płótno ang. 1 —

**Bohater z pod Spionskopu.** Powieść na tle ostatniej wojny

**Burów z Anglikami.** Podług *A. Wildensteina*, opracował *Wł. Umiński*, z 4 ryc. kolor. w ozd. okładce 1 20



- Galernik. Z powłera i Flibustjerowie.** Powieść na tle walki opracowała i na Kubie, napisał *Wł. Umiński*, z 6 rycinami rb. 1 k. w oprawie 1 —
- Kazio. Powiad.** Opowiadanie z dziejów Egiptu, podł. i osł. *Sanga* napisał *K. Król*. Z 4 rycin. kolor. w opr. ozdobnej kolor. 1 —
- Wojny i wojny.** Opowiadanie z czasów Peryklesa, przez *P. O. Höckera*, tłumaczenie *M. K.*, z 7 rycin., w opr. w płótno angielskie 1 50
- Losy Cezara.** Opowiadanie z dziejów rzymskich, wedy. *P. O. Höckera*, napisał *W. Przyborowski*. Z 6 rycinami, w oprawie rb. 1; w opr. ozdobnej 1 40
- Atylla bicz Boży.** Opowiadanie historyczne według *P. O. Höckera*, opracował *W. Przyborowski*, z 6 rycinami, w opr. 1 20; w opr. ozd. w płótno ang. 1 40
- Iwanhoe.** Powieść historyczna z czasów Ryszarda I-go Lwie-Serce, *Walter Scota*. Opracował dla młodzieży *H. Rawicz*. Z rycinami w opr. 1.—

## PRZYGODY. PODROŻE. OPISY GIEOGRAFICZNE.

- Przygody chłopca przedhistorycznego.** Zajmujące opowiadanie o bardzo dawnych czasach, p. *E. d'Herilly* z 15 rycin., w ozdobnej oprawie 1 —
- — w oprawie w płótno angielskie 1 40
- Wśród lodów i nocy.** Prawdziwe odkrycia podbiegunowe *F. Nansena*, opracowane dla młodzieży przez *Wł. Umińskiego*, z licznymi rycinami, w opr. — 75
- Władca przestworzy.** Powieść fantastyczna nap. *J. Kruk*, z rycinami — 80
- Klondyke.** Przygody poszukiwaczy złota; podł. *E. Bartusa*, opisał *Zb. Kamiński*, z 4 kol. ryc., w opr. 1 —
- Tajemniczy rybak.** *J. Verne*. Z oryginału francuskiego p. t. «Le pilote du Danube» przełożyła *M. Gąsiorowska*. Z 6 rysunkami, w opr. — —
- Podróż bez pieniędzy.** Oprac. *Wł. Umiński*. Wydanie drugie z 6 rysunkami w opr. — 75
- Samochodem przez Australję.** *W. Madera*. Spolszczyła *J. Bohuszewiczowa*. Z 6 rycinami, w opr. 1.20
- Samolotem naokoło świata.** Opowiadanie dla młodzieży *Wł. Umińskiego*. Z rycinami, w opr. 2.40
- Rozbitki.** Powieść *J. Verne*. Streszczona przez *S. Gębarskiego*. Z 12 rysunkami, w opr. 1.—
- Pole djamentowe.** Przygody dwóch przyjaciół, napisał *Wł. Umiński*. Z 4 rycin. kolor. w opr. 1 —
- — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40



75640/1



Dodatek do Naszego Świata

Styczeń 1912